

ŚWIAT

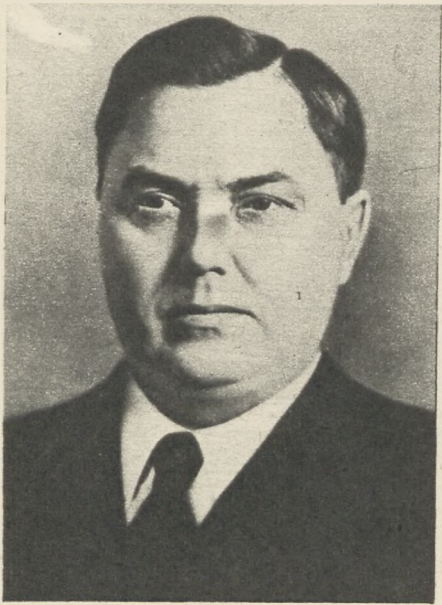


100 TYSIĘCY WIDZÓW NA STADIONIE

W BUKARESZCIE PATRZYŁO NA ZAWODY SPORTOWE
W RAMACH ŚWIATOWEGO FESTIWALU MŁODZIEŻY, Z KTÓ-
REGO FOTOREPORTAŻ ZAMIESZCZAMY NA STR. 4 I 5

Fot. CAF

V SESJA RADY NAJWYŻSZEJ ZSRR



Przemówienie przewodniczącego Rady Ministrów ZSRR G. M. Malenkowa na V sesji Rady Najwyższej wywarło ogromne wrażenie na świecie. Stanowi ono nowy wkład w sprawę okiełznania sił wojny, wskazując drogę do rozładowania napięcia w sytuacji międzynarodowej i dając zarazem imponujący obraz potęgi wielkiego Kraju Rad. Minister finansów ZSRR — A. Zwieriew wygłosił referat (zdjęcie po prawej) o budżecie państwowym ZSRR na rok 1953 i o wykonaniu budżetu w 1951 i 1952 r.

P. Kislow

STAL DLA POKOJU



CAF

Przed dwoma laty były tu ugory. Teraz płynie już surówka z pierwszego pieca w hucie im. Bieruta. Częstochowska stal zasili nasze pokojowe budownictwo.

NOWE ZIARNO



CAF

Omloty zbóż w PGR-ach dobiegają końca. Na zdjęciu najlepsza w kraju 25-osobowa brygada polowa Aleksandra Łagowskiego w PGR Ośłonino (woj. gdańskie).

HANDLARZE ŚMIERCI



Keystone

Słusznie raduje się Anna Thyssen, której stalownia — przeznaczona uprzednio na rozbiórkę, znów pracuje. Thyssenowie uzbroili Hitlera — zbroją Adenauera.

MŁODZIEŻ BEZ JUTRA



Keystone

Co minutę Bonn wydaje 20.000 marek na wojsko! Na ochronę zdrowia łożą rocznie 177 fenigów na mieszkańca. Nic dziwnego, że demonstrują studenci medycyny we Frankfurcie n/Menem.

WŁOSKI KONTREDANS



Keystone

Po parlamentarnej porażce de Gasperiego były wiceminister chadecki, Piccioni, (na zdjęciu) usiłuje stworzyć nowy rząd.

PRZEZ radio paryskie przemawiał premier Francji — Laniel. Zapowiedział on wydanie dekretów, zmierzających do zrównoważenia finansów kraju. Deficyt Francji, kraju będącego do niedawna bankierem innych państw, liczy się już nie w miliardach, ale w trylionach franków. Reakcyjna większość francuskiego parlamentu udzieliła niedawno panu Lanielowi pełnomocnictw do załatwienia tych spraw przez rząd przy pomocy dekretów — bez kontroli Zgromadzenia Narodowego. I oto właściwie rząd Laniela realizuje udzielone mu pełnomocnictwa.

W przemówieniu radiowym Laniel częściowo odkrył swoje zamierzenia. Chce on pokryć deficyt przy pomocy takich posunięć, jak podniesienie wysokości czynszów mieszkaniowych, obcięcie i ograniczenie rent wypłacanych ofiarom wojny (inwalidom, wdowom i sierotom), obniżenie emerytur, redukcja kilkudziesięciu tysięcy urzędników państwowych, wstrzymanie awansów pozostałych urzędników w niższych grupach uposażeniowych itd. Ani jedno z finansowych lekarstw Laniela nie godzi w posiadaczy, wszystkie — w ludzi pracy.

NIEMAL jednocześnie z Lanielem, w drugim końcu Europy, w Moskwie, przemawiał przedstawiciel rządu innego państwa. To radziecki minister finansów Zwieriew przedstawiał zebranej na Kremlu Radzie Najwyższej ZSRR budżet na rok 1953. Rząd radziecki też zajmuje się sprawą stałych i to ciągle rosnących różnic między dochodami i wydatkami budżetowymi. Różnica ta w roku 1951 wynosiła 27,3 miliarda rubli, w roku 1952 — 37,5 miliarda rubli. Są to o tyle inne kłopoty niż rządu francuskiego, że nie są to liczby deficytu, ale liczby nadwyżek dochodów nad wydatkami.

W Moskwie też zajęto się problemem ludzi pracy w związku z budżetem. Także pomyślano o ludziach starych. Postanowiono mianowicie całkowicie zwolnić z podatku rolnego kołchoźników i chłopów gospodarujących indywidualnie w wieku od 60 lat, a kołchoźniczki i chłopki w wieku od 55 lat. W zakresie mieszkań także zrobiono ważne posunięcie: na budownictwo mieszkaniowe przeznaczono o 25 procent więcej pieniędzy niż w roku ubiegłym.

Pan Laniel zapowiedział dalsze ograniczenie świadczeń społecznych; minister Zwieriew — zwiększenie o 1.363 milionów rubli kredytów na opiekę lekarską nad ludnością. Na opiekę społeczną i ubezpieczenia społeczne, jak również na zasiłki państwowe dla wielodzietnych i samotnych matek w budżecie Związku Radzieckiego na rok bieżący przeznaczono 24,8 miliarda rubli.

Z referatu ministra Zwieriewa dowiadujemy się, że w Związku Radzieckim na wyższych uczelniach studiuje ponad półtora miliona młodzieży. Tyleż osób kształci się w szkołach technicznych.

Pomyślcie: razem biorąc ponad trzy miliony zdobywają wyższe kwalifikacje, wyższe wykształcenie, rozszerzają swój światopogląd. Są to liczby, które w statystykach całego świata pojawiają się w takiej wysokości po raz pierwszy.

PAN Laniel niedługo czekał na odpowiedź: strajk generalny ogarnął całą Francję. Naród francuski nie tylko występuje przeciwko antypracowniczym projektom rządu. Naród francuski ma także swój własny program w sprawie likwidacji deficytu budżetowego państwa, w sprawie wyciągnięcia Francji z otchłani ruiny gospodarczej i finansowej. Naród francuski bowiem dostrzega wyraźnie przyczyny, które spowodowały katastrofę skarbu francuskiego. Naród francuski nie życzy sobie, by nowe tysiące ludzi skazywane zostały na poniewierkę bezrobocia, nie chce nędzy ofiar wojny, nie chce wygórowanego komornego. Naród francuski zna prosty i zbawienny dla Francuzów sposób uzdrowienia gospodarki kraju.

Za walkę o ten program młody Francuz Henri Martin przesiedział trzy lata w więzieniu. Dalsi zwolennicy tego programu siedzą jeszcze w więzieniach pana Laniela. Pan Laniel i inni Lanielowie dzisiejszej Francji nie lubią tego programu. Nie lubią go tak bardzo, jak Li Syn Man nie lubił myśli o możliwości zawarcia rozejmu na Korei. Bo źródło obaw jest to samo: tu chodzi o zaprzestanie wojny na innym azjatyckim półwyspie, na półwyspie indochińskim — wojny w Vietnamie.

Na tę wojnę odpływają miliardy z Francji, miliardy franków wyduszone z mas pracujących Francji. Trzeba przyznać, że niektóre nawet z tych miliardów wracają do kraju. Tyle tylko, że już nie do tych samych kieszeni ludzi pracy miast i wsi, ale do kas pancernych francuskich kapitalistów. Wojna wietnamska to sposób ubożenia mas pracujących i bogacenia bogaczy. Jest w istocie swojej wojną równocześnie przeciwko dwóm narodom: wietnamskiemu i francuskiemu.

LUD pracujący porwał się do walki przeciwko Lanielowi i projektom jego rządu. Dwa miliony robotników i pracowników umysłowych wzięły udział w strajku generalnym. Francję ogarnął płomień jednej z tych walk toczonych przez klasę robotniczą i przez narody zachodniej Europy, które każą z ufnością patrzeć w przyszłość, które przypominają o daremności wszelkich imperialistycznych planów amerykańskich i o żywotności ludów.

Stara, rewolucyjna Francja, młoda młodością klasy robotniczej, silna siłą Partii Komunistycznej, ukazuje znów, jaka jest naprawdę. W to prawdziwe oblicze prawdziwej Francji imperialiści patrzą z nienawiścią i przerażeniem. My — z miłością i radością.

JAN SZELĄG

BRUDNA ROBOTA BEZ RĘKAWICZEK



W Monachium ukazuje się tygodnik pod tytułem „Quick”. W numerze 29 tego tygodnika z dnia 19 lipca br. znalazł się — reklamowany zresztą specjalną ramką na okładce — reportaż własny z wypadków czerwcowych w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Przy reportażu na str. 14 widnieje zdjęcie, opatrzone wstrząsającym tytułem: „Bajonette gegen Arbeits-Sklaven” (Bagnety przeciw niewolnikom pracy). Oto zdjęcie:



Bajonette gegen Arbeits-Sklaven

Und auch darauf, weil sie nicht können, dass diese Foto wurde von einem amerikanischen Soldaten aufgenommen und gelangte auf seltsamen Umwegen in den freien Westen.

Podpis pod zdjęciem głosi: „Sto tysięcy robotników Wismuth A. G. w rejonie uranowym Aue demonstrowało przeciwko swym ciemiężcom. Bagnety rosyjskich wojsk okupacyjnych zapędziły bezbronną z powrotem na ich miejsce pracy. Zdjęcie zostało wykonane przez żołnierza rosyjskiego i trafiło na wolny Zachód wyjątkowymi drogami”.

Cel, jaki chciał osiągnąć tygodnik „Quick”, publikując w okresie poprzedzającym wybory w Trizonii to zdjęcie

z takim podpisem, jest chyba dla wszystkich jasny. Podpis został zredagowany przez współpracowników pisma „Quick”. A zdjęcie?

Zdjęcie zastępuje na to, by się nim bliżej zająć. Widać na nim ludzi, których miny na pewno nie wyrażają radości. Widać wymierzone przeciw nim bagnety. Zdjęcie jest nieostre, nawet wyjątkowo nieostre, jak na troskliwy o jakość fotografii „Quick”. Ale mimo to pewne szczegóły na tym zdjęciu można rozpoznać i one właśnie wydają się nieco dziwne. Na przykład bagnety. Nie są podobne do wąskich bagnety, używanych w Armii Radzieckiej; przypominają raczej szerokie bagnety amerykańskie... Albo inny szczegół: jeden z niemieckich „niewolników pracy” nosi nakrycie głowy, które nawet na nieostрым zdjęciu ogromnie przypomina charakterystyczną czapkę szkodką. I dziwne, że nie widać na zdjęciu ani jednej postaci żołnierza...

Tyle o szczegółach. Jeśli idzie o całość — to niejedynemu ważny czytelnik prasy ilustrowanej odniósł wrażenie, że gdzieś kiedyś już podobne zdjęcie widział. Ale gdzie, kiedy?...

Możemy przypomnieć. Obiegło ono całą prasę postępową przeszło dwa lata temu, w okresie Światowego Festiwalu Młodzieży w Berlinie. Oburzenie milionów ludzi na całym świecie wywołało wtedy fakt bezprawnego zatrzymania i bestialskiego pobicia przez amerykańskich żołdaków grupy młodych Anglików i Francuzów, zdążających na Festiwal. Miało to miejsce w Innsbrucku (Austria), w pierwszych dniach sierpnia roku 1951. Jeden z pobitych zdołał wtedy wykonać zdjęcie, które znalazło się potem w wielu pismach, między innymi w „Świecie”, w numerze 19 z dnia 2 grudnia 1951, na stronie 14. Publikujemy je dziś znów poniżej.

Na zdjęciu tym dodaliśmy białe linie, wskazujące, jak pracowały nożyczki preparatorów z redakcji „Quick”.

Kiedyś pewien minister propagandy, nazwiskiem Goebbels, nauczał, że kłamstwo należy powtarzać nie dwa czy kilka razy, ale sto razy — wtedy na pewno ktoś w nie uwierzy. Nauczał także, że im kłamstwo potworniejsze, tym łatwiej „przechodzi”. Uczniowie Goebbelsa z redakcji „Quick” pamiętają wskazania swego mistrza. I realizują je tak, że chyba sam nauczyciel nie potrafiłby lepiej.

Pozostawiamy to zresztą ocenie Czytelników.



NAPRZÓD MŁODZIEŻY ŚWIATA

Zdjęcia: AGERPRESS i CAF

NIGDY jeszcze w Bukareszcie nie było tyle radości, śpiewu, tańca i muzyki. Delegatom polskim mogło się czasem wydawać, iż są w Warszawie, tak często słyszeli nasze pieśni, a szczególnie wdzięczną „Kukułeczkę”, którą najchętniej śpiewają Chińczycy.

Młodzież całego świata chodzi po Bukareszcie trzymając się za ręce, obejmując się ramionami. Aby móc gestami tymi zmanifestować swą przyjaźń, delegaci na Światowy Festiwal Młodzieży przezwyciężyć musieli niejedną trudność. Bo młodzież stu narodów, która w Bukareszcie mówi o swej jedności, pochodzi z dwóch światów. Wiele delegacji przybyło tu samolotami lub wygodnymi pociągami. To z tego świata, gdzie przed wszystkimi roztaczają się nieograniczone wprost możliwości rozwoju i dobrobytu. Ten drugi świat nie był już tak łaskawy. To świat, gdzie dziecko robotnika, chłopca, gdzie dziecko człowieka kolorowego musi ustąpić dziecku klas uprzywilejowanych, gdzie dorastająca dziewczyna i dorastający chłopiec nigdy nie wiedzą, jak ułożyć się ich los. Z tego to świata młodzież przekradła się często przez granice i wędrowała do Bukaresztu bez paszportu. Z tego to świata pochodzi bezimienna delegacja amerykańska, delegacja z kraju Rosenbergów, w którym za walkę o pokój dzieciom odbiera się rodziców.

W krajach kapitalistycznych zrobiono wszystko, aby rozbić jedność młodzieży, aby nie dopuścić jej do uczestnictwa w Festiwalu Bukareszteńskim. „To zdrada ojczyzny” — wołali bankierzy i fabrykanci śmierci, ale nad pawilonami wystawy w Bukareszcie w dwudziestu językach można było przeczytać napisy: „Kochamy nasz kraj! Piękna jest nasza ojczyzna”. Mówi też o tym umiłowanie przez młodzież stroju ludowego, ludowej muzyki, narodowej literatury. Książki Adama Mickiewicza leżały obok poezji Hikmeta, powieści Erenburga, obok tysięcy książek we wszystkich chyba językach świata. Bo dlaczego umiłowanie

własnej ojczyzny ma iść w parze z nienawiścią do innego kraju? Bukareszt jeszcze raz uczy, że umiłowanie ojczyzny i własnej kultury narodowej nie dzieli, ale łączy. Młodzieży obce jest uczucie nienawiści. W pawilonie francuskim każdą z liter słowa PAIX trzyma ktoś inny: młody komunista, socjalista, katolik i radykał. Młodzież koreańska, młodzież z kraju, gdzie ziemia zaczyna wreszcie obsychać z krwi, i młodzież chińska, która wystąpiła w obronie Korei, wszędzie witana była z entuzjazmem.

Młodzież tych dwóch światów poszła w jednym, ogromnym pochodzie, razem: chłopcy i dziewczęta. Później jeszcze raz, gdy zapadł nad Bukaresztem zmierzch, dziewczęta wszystkich narodów same poszły na szeroki bulwar gen. Maghuru. — To dla pokoju i przyjaźni. Pokój jest potrzebny dziewczętom świata. Przyjaźń dziewcząt umacnia pokój — powiedziała tkaczka rumuńska, Maria Fratilla.

Młodzież przepelnione były w Bukareszcie nie tylko ulice i place, przepelnione były również stadiony, gdzie w czasie igrzysk raz po raz padały rekordy sportowe różnych krajów. Obok przyjaźni, młodzież świata zmanifestowała również swą tężyźnię, zdolność do walki.

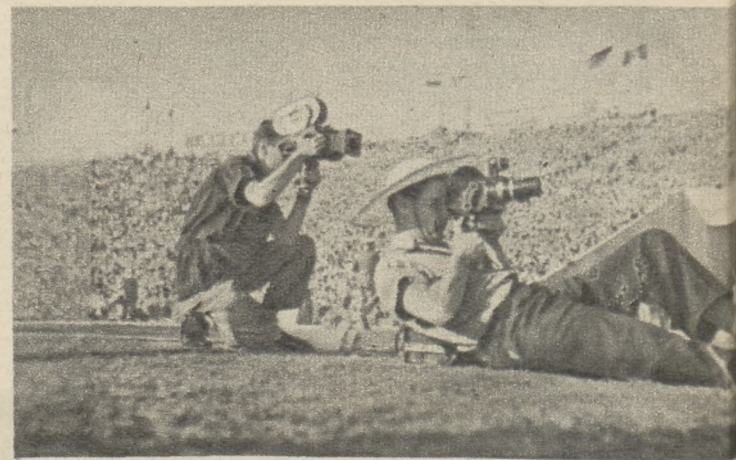
Przyjdzie taki dzień, kiedy w Bukareszcie umilkną wielotysięczne głosy młodzieży, kiedy przestaną brzmieć kapele ludowe, a estrady uginać się pod tańczącymi tłumami. Nie zginie jednak pamięć wspólnego pochodu i nie zginie pamięć tych żywych wyrazów przyjaźni, jakich młodzież z krajów demokracji ludowej nie szczędziła młodzieży z krajów kapitalistycznych.

Świat przecięty jest granicą, ale nie istnieje ona dla młodzieży postępowej. Młodzież śpiewa w swym hymnie „Naprzód młodzieży świata!” Śpiewa dlatego, że służąc idei przyjaźni i pokoju między narodami, dąży do obalenia sztucznych barier oddzielających narody od siebie.

Światowy Festiwal Młodzieży w Bukareszcie dał tej młodzieży nowe siły do walki.



BUKARESZT STAŁ SIĘ STOLICĄ MŁODOŚCI.

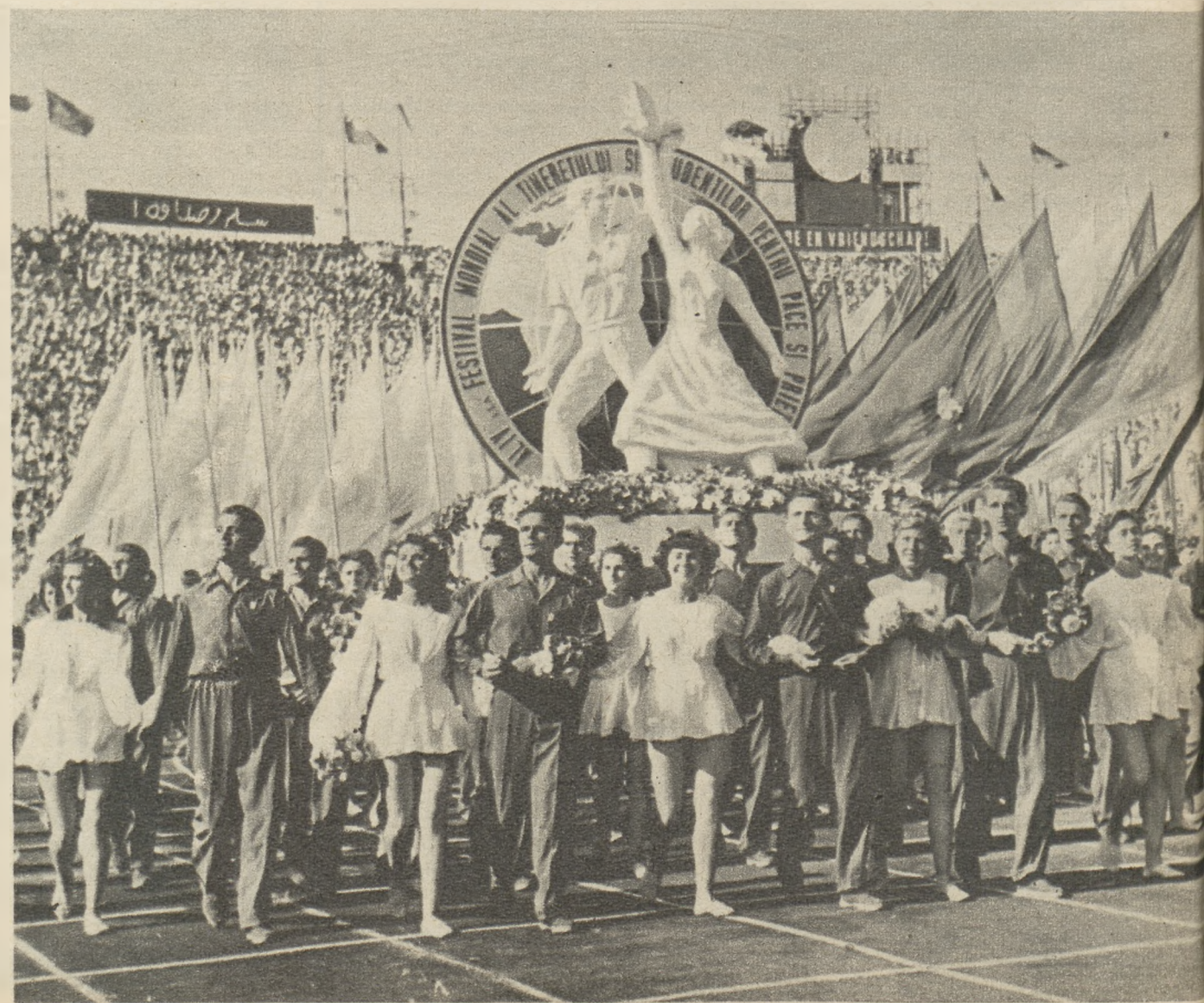


Filmowanie zawodów sportowych wymaga często i od operatora pewnej dozy przygotowania kondycyjnego...

Czyż można było zrezygnować ze spotkania z młodzieżą świata? A zresztą, na upał każdy ma swój sposób!



Ci, którzy byli obecni na Festiwalu, zabiorą do domów niezatarte wrażenie siły i potęgi wielkiej idei pokoju i braterstwa, pamięć płynącego na cały świat z pięknej ziemi rumuńskiej (na zdjęciu: Rumuni w pochodzie)





NA STADIONIE MŁODZIEŻ RUMUŃSKA TAŃCEM I SPIEWEM WITA MŁODZIEŻ CAŁEGO ŚWIATA



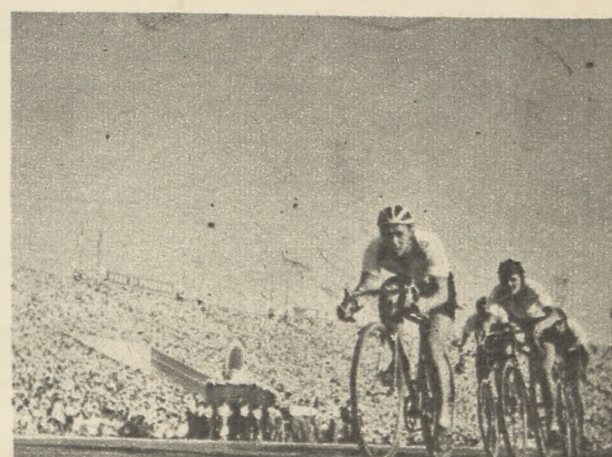
RAZEM! OTO CHINKA I TRZEJ KOMSOMOLCY.



Rewelacja zawodów — Kuc (ZSRR) — był w biegu: na 5 km drugi za Zatopkiem, uzyskując czas 14:04



W ramach turnieju młodzieżowych reprezentacji piłkarskich drużyna Rumunii pokonała piłkarzy fińskich



Program pierwszego dnia igrzysk sportowych zakończyły towarzyskie zawody kolarzy rumuńskich.

— wezwania do przyjaźni i współpracy młodzieży świata.

To nic, że trudno się wioślarkom polskim porozumieć ze szwedzkimi — ich przyjaźń przetrwa poza Festiwal.

Stacje wyjazdowe młodzieży rozciągały się od Islandii po Afrykę i od Japonii, uczestniczącej pierwszy raz w Festiwalu — po Kanadę. Stacją docelową był Bukareszt.



Triumfatorzy biegu na 800 metrów: Jungwirth (Czechosłowacja), Bakos (Węgry) i Potrzebowski (Polska).



NORMY ŻYCIA

KAMILA CHYLIŃSKA

Zdjęcia: Z. MAŁEK

PRZED chwilą jeszcze wyglądało, że zebranie nie potoczy się inaczej, niż dziesiątki zwyczajnych zebrań w spółdzielni produkcyjnej w Kornicy. Ani spokojniej — ani gwałtowniej. Przed chwilą jeszcze zastępca przewodniczącego tłumaczył spółdzielcom, na czym polega zimny wychów cieląt — i choć metoda to wcale nie odwieczna, nikt przeciw niej nie protestował. Potem opiekun spółdzielni z Raciborskiego Przedsiębiorstwa Skupu Owoców i Warzyw omawiał dekret o ochronie własności socjalistycznej, podkreślał, że każdy spółdzielca powinien pilnować zespolowego dobra — i, choć ustawa to dotąd nieznana, nikt z tej racji nie zrzędził. Zdawać by się mogło, że nie boją się już mieszkańcy Kornicy spotkań z nowymi rzeczami, że ciężko okupiona mądrość wygnała z nich strach przed nieznanym. Tymczasem jedno wypowiedziane zdanie wywołało burzę, pomieszało organizatorów szyki, ujawniło troski, tym bardziej dotkliwe, że dręczące spółdzielców od dawna.

Zdanie to brzmiało:

— A teraz — moi drodzy — pomówimy o normach pracy.

Wtedy właśnie Jan Górszczyk i Jadwiga Wyciskowa, ofiarni pracownicy spółdzielni, wyłuszczyli swe nieprzejmowane stanowisko wobec norm, powołując się na niechęć umierania i na siabłość kobiet. — Czy ja po to się zapisałem do spółdzielni, żebym zdechł? — wołał wielkim głosem rozłoszczony Górszczyk.

— Czy ja po to wstąpiłam do spółdzielni, żeby resztę sił stracić? — krzyczała rozdrażniona Wyciskowa.

Jednak ludzie siedzący za prezydią nie dali się zbić z tropu namiętnymi sprzeciwami i ciągnęli, spokojnie:

— To jest przecież w waszym interesie. Sami wiecie, że jedni pracują dużo, drudzy mało.

— Niech wszyscy wychodzą do pracy, to nie trzeba będzie norm! — wypaliła akcentując każde słowo Jadwiga Wycisk.

— Niech będą normy, to coraz więcej ludzi wyjdzie do pracy — replikował głos z prezydiu. — Sami wiecie, że jeszcze u nas niektórzy posyłają na pole dzieci, szesnastolatki, a potem zgarniają dniówki. Czy to jest sprawiedliwe? Sami wiecie, że jeszcze niektórzy chodzą tylko na swoje działki, a są nawet chyttrzejsi, co dotychczas mają ukryte przed spółdzielnią hektary, a na spółdzielcze idą właśnie wtedy, kiedy roboty są najlżejsze — i tyle samo zarabiają jak ten, co się namorduje. Czy to jest sprawiedliwe? Powiedzcie sami — apelował głos z prezydiu.

Żaden argument ani żaden apel nie trafił jednak do przekonania zgromadzonym. Z ostatniej ławy padły słowa:

— Nam powiedział ktoś z Grodczanek, że u nich trzy dni zboże stawiano, żeby wyrobić normę.

W dyskusję wmieszał się Regucki, starszy agronom z pobliskiego POM-u w Pawłowie. Któż lepiej niż on znał kornicką spółdzielnię? Któż lepiej niż on pamiętał pierwszy pionierski siew na kornickiej ziemi, sprzysiężenie wrogów spółdzielni z ludzką ślepotą, wściekłość kobiet rzucających się pod traktory i z biczami porywających się na traktorystów, podstęp chłopów, którzy w czas pierwszych zbiorów wtargnęli z kosami na pole! Któż lepiej niż on rozeznać się mógł w tym dziwnym splocie przeci-

wieństw między poczuciem starej fornalskiej krzywdy, obecnym w pamięci tych ludzi — a ich opornością wobec założeń i wskazówek nie pochodzących ze dworu lub z nieba! Niegdyś pan inspektor obliczając im akordy, bezlitośnie tłumili ich bunt przeciw fornalskiej krzywdzie. A dawniej jeszcze, gdy na ojcowskiej ziemi zdarzało się któregoś roku, że susza paliła ziarno pszeniczne, huragan kładł jęczmienne kłosa, grad wybił żyto lub mróz niszczył ziemniaki — nawet wtedy kazano im z pokorą w sercu i bez rozpacz przyjąć ów wymiar dochodów, sporządzony przez opatrność. Od pierwszej młodości usiłowano wpoić w nich przekonanie, że lepszy jest dopust z ręki boskiej lub pańskiej — niż sprawiedliwość z ręki równego im człowieka.

Wiedział dobrze starszy agronom Regucki, sam syn chłopski z Krakowskiego, członek partyjnych szeregów od czasów okupacji, że na te właśnie ugory, nieraz jeszcze przetrwał w człowieku, pada siew wroga. I postanowił — w odpowiedzi na wrogą pogłoskę o trzech dniach potrzebnych do wykonania normy — odparować mocno. Wysoki, nieco w przód pochylony, górując jak gdyby nad salą, mówił dobitnie:

— To jest kłamstwo. Wytyczne norm są zasadniczo ustalone dla całej Polski w dodatku do statutów spółdzielczych, a oprócz tego w każdej spółdzielni normy są dopasowane do miejscowych warunków, określone przez zarząd i podane pod zatwierdzenie ogólnego zgromadzenia. Normy są uzależnione i od warunków, i od ludzkich możliwości, i od zdolności. Już duża część spółdzielni w Polsce stosuje normy. Czy sądzicie, że ludzie decydują przeciw własnemu pożytkowi? Chodzi właśnie o to, żebyście mieli dochód sprawiedliwy!

Na razie jednak dyskusja pozostała nie rozstrzygnięta — gdyż nie mogło jej rozstrzygnąć jedno zebranie. Regucki wrócił do POM-u z twardym zamiarem dalszej walki o wprowadzenie norm w Kornicy — a Jan Górszczyk i Jadwiga Wycisk wrócili do pilnej i ofiarnej pracy w spółdzielni z twardym zamiarem dalszej walki przeciw wprowadzeniu norm w Kornicy. Trwał poprzedni stan rzeczy ku zadowoleniu nieświadomych i opornych, lecz wbrew rozsądkowi, nie tylko — mówiąc ogólnie — ludzkiemu, ale i — mówiąc ściślej — chłopskiemu. Jakież bowiem chłop nie rozumie, iż jest różnica między robotą w lipcowym żarze czy w majowym chłodzie, między ręcznym pieleniem buraków, z plecami bolącymi od ciągłego przygarbienia — a na przykład strząsaniem z drzew owoców; między przebieganiem ziemniaków w wilgotnej piwnicy, z kolanami zeszytyniałymi od klęcecz — a zwożeniem koniczyzny na wozie. A jednak chłop z Kornicy wbrew chłopskiemu rozsądkowi i na przekór sobie, ale za to zgodnie z „odwiecznym” przykazaniem uległości wobec krzywdy, uważali, że człowiek człowiekowi żadną miarą owej różnicy wynagradzać nie powinien.

W kilka dni po zebraniu znów wszczęła się dyskusja, tym razem w gronie trzech osób: Elżbiety Sitek i Zofii Szynceł, wzorowych pracownic spółdzielni, oraz — dziennikarki z Warszawy. Dyskusja, nie doprowadziwszy bynajmniej do bardziej pocieszających wyników niż opisane uprzednio zebranie, przywiodła jednak przed oczy dziennikarce z miasta dalsze źródła kornickiej obawy przed normami.

— Nigdy nie będzie sprawiedliwości na świecie! — powtarzała w tej rozmowie

wie kilkakrotnie Zofia Szynceł przy usilnym potakiwaniu Elżbiety Sitek.

— Dlaczego? — pytałam uporczywie, nie mogąc zrozumieć, z jakiego powodu mówi tak była dworska robotnica, która do spółdzielni wstąpiła bez ziemi, z jakiej przyczyny mówi tak człowiek, któremu spółdzielnia — zagospodarowana już dziś i dochodowa — dała dosłownie wszystko.

— Boli nas sumienie — dowodziła Zofia Szynceł

— że przewodniczący dostaje półtorej dniówki za każdy dzień pracy. Albo na przykład księgowy otrzymuje dniówkę — to znaczy tyle co my. A on przecież siedzi w biurze, nie pracuje na ziemi. Już zawsze tak będzie, że na kogoś będziemy robić!

— Przewodniczący pojechał na kurs do Ursynowa — uzupełniała wywody Szyncełowej Elżbieta Sitek — a zapłatę bierze. On dla swojego wykształcenia pojechał!

— Przecież to wykształcenie będzie służyło spółdzielni, a przez to wam wszystkim.

— Nam to niepotrzebne — mówiły zapamiętane jedna przez drugą — my zna-



„Mnie to niepotrzebne — mówiła Sitekowa — ja znam robotę i każdy kawałek ziemi. Mnie to niepotrzebne!”

my robotę i każdy kawałek ziemi. Nam to niepotrzebne!

Udało mi się zrozumieć z tej rozmowy, że owym kobietom, dla których przez całe życie praca była znojem i mitem, ideał sprawiedliwości przedstawia się do dzisiaj jako równomierny podział znoju i mitem między ludźmi: że w ich pojęciu, ukształconym w ucisku, normy nie oznaczają wcale równych szans dla wszystkich, lecz rysują się jako nowa tabela krzywd i przywilejów. Jak przekonać tych ludzi, że ich pojęcie równości wykoślawiły przesady pokoleń wzrosłych w nierówności? Jak im wykazać, że za pracę trudniejszą i bardziej odpowiedzialną należy się wyższa zapłata? Jak wytłumaczyć, że nasza wspólna so-



„...wyszli nad staw, łagodny wiatr letni objął ich ciepłym podmuchem. I nagle, ku zdumieniu obecnych, Jadwiga Wycisk wstydliwie poprosiła amantowskich spół-

cialistyczna rzeczywistość pobudza człowieka do pracy wciąż wartościowszej i szlachetniejszej — i sprawiedliwie mu się za nią odplaca?

Od kilku dni, ściśle mówiąc od opisanego zebrania, natarczywie prześladowała mnie pewna myśl. Komitet Powiatowy Partii w Raciborzu pomógł mi w jej urzeczywistnieniu. Z trójką spółdzielców z Kornicy jadę do spółdzielni w Amantowie, gdzie już dawno wprowadzono normy ku zadowoleniu chłopów. Jadą ze mną: Jadwiga Wycisk, Elżbieta Sitek i Jan Górszczyk — zapalczywi przeciwnicy norm.

Mijamy pola innej jeszcze spółdzielni. Oni mówią: „Nasze żyto większe”; „Nasze buraki ładniejsze”; „Jaka piękna pszenica! Jak zrobić, żeby nasza taka była?” Ja zaś myślę: „To niemożliwe, żeby ci ludzie nie zrozumieli naszej sprawiedliwości!”

Gdy przybyliśmy do Amantowa, w biurze spółdzielni nie było nikogo, co spółdzielcy z Kornicy uznali za objaw niepokojący, bo przecież nie powinno się zostawiać niezamkniętego biura. Przewodniczący Weleś wyjechał właśnie z Amantowa w sprawie buhaja — na spotkanie gości przyszedł więc po krótkiej chwili sekretarz organizacji partyjnej, Walenty Kępa, i brygadzysta Józef Kocur. O incydencie z niezamkniętym biurem zapomniano, lecz mimo to nie kleiła się jakoś rozmowa, gdyż choć amantowscy spółdzielcy byli o celu naszej wizyty uprzedzeni — to jednak nikt nie chciał zacząć pierwszy.

Pokonując wstępne zakłopotanie zdobył się wreszcie na odwagę Górszczyk i zapytał:

— Więc powiedzcie, jak to tam u was z tymi normami?

— Ja bym wcale nie chciał w takiej spółdzielni pracować, gdzie nie ma norm — odparł Kępa.

— Ja bym tam w takiej spółdzielni nie chciał być grupowym — potwierdził uroczyście brygadzysta Kocur.

Goście z Kornicy porozumiewawczo zmierzli się oczyma. Nie są w ciemności i nie dadzą się wziąć na takie mówienie. Oczekują dokładnych liczb, ścisłych wymiarów, a nie jakichś tam za-



„...nie było na pozór w tym opowiadaniu nic nadzwyczajnego. Były to zwykłe dzieje. Lecz dla spółdzielców z Kornicy (pierwsza od prawej — Jadwiga Wycisk) opowiadanie to było ważne. Po raz pierwszy z tak bliska oglądali własną przyszłość...”

pewnień co by kto chciał, a czego by nie chciał.

Inicjatywę przejmują kobiety:

— Na przerywkę buraków jaka u was dzienna norma?

— Sześć arów.

— Na pierwszy hak?

— Osiem arów.

Odpowiedzi padają szybciej niż by pragnęli goście. Kocur powtarza:

— Nie chciałbym być brygadzystą w takiej spółdzielni, gdzie nie ma norm. Co to za sprawiedliwość? Przecież to zachęta dla leniwców.

— Na stawianie zboża jaka u was dzienna norma?

— Jeden hektar przy pszenicy i jęczmieniu.

Kępa wracając do buraków tłumaczy gościom:

— Jak na przykład osiem arów skończycie przed południem — to po południu możecie odpoczywać.

Spółdzielcy kornicki obliczają własną robotę według norm amantowskich. Elżbieta Sitek podchodzi do tablicy z wykazem przepracowanych dniówek. Piękna, pouczająca tablica! Jeśli tyle ludzi wychodzi do pracy — to naprawdę można się szybko uporać i znaleźć czas na odpoczynek. Więc obrona kornickich spółdzielców szuka sobie innej drogi:

— U nas tak nie będzie. Choć te wasze normy to my wykonujemy... — mówi Wyciskowa.

— Nawet czasem i więcej — przerywa Górszczyk.

— Nawet czasem i więcej — ciągnie Wyciskowa — ale u nas nie ma jednoty.

— Jednota zależy od ludzi — twierdzi Kępa.

— Przecież pod względem dochodów Kornica stała przedtem lepiej niż Amantów.

Elżbieta Sitek i Jadwiga Wycisk omal nie podniosły się z krzeseł:

— A dziś, czy źle stoimy? — odpięrają z oburzeniem.

Istotnie, odmienne były losy owych dwóch pobliskich spółdzielni — Amantowa i Kornicy. Amantów, pierwsza spółdzielnia w Raciborskiem, korzystał z wydatniejszych niż Kornica kredytów. No i jasne, że wszystkiego równocześnie mieć nie można. O mury amantowskich domków mieszkalnych, wznoszących się przy drodze dwoma regularnymi rzędami, rozbiło się wprawdzie raz na zawsze wspomnienie wiejskiej chałupy, gdzie chłop żył w nędzy i stęchliznie — ale za to Kornica, która jeszcze domków mieszkalnych nie buduje, większe ma dochody.

Kępa i Kocur z dumą pokazują gościom z Kornicy amantowskie osiągnięcia. Oj, piękna, bo piękna jest ta pierwszorzędna spółdzielnia powiatu! Jeszcze widać po drugiej stronie drogi dawne czworaki, w języku ludzi miejscowych zwane kazamatami. Jakże daleko od owych kazamat odbiegła teraźniejszość Amantowa!

Goście poruszają się powoli, jak gdyby bali się co zniszczyć jakimś nieostrożnym ruchem. Niebawem przekonują się, że prawdą były słowa o popołudniowym odpoczynku, gdyż Kocur wprowadzając ich do swego mieszkania przerwał żonie poobiednią drzemkę. — Jakże duże izby! — dziwią się kornicki spółdzielcy. — A u nas ludzie mówili, że te domki spółdzielcze takie małe budują, że nie ma gdzie czego postawić — piszczy ze zdumienia Jadwiga Wycisk.

Kierują się ku zabudowaniom, podziwiają piękną hodowlę. — U nas nawet oborowy domaga się normy — rzuca mimochodem Kocur. A Kępa dodaje: — Teraz ustalamy normy w tych pracach, gdzie ich jeszcze nie było. Na przykład przy rozwożeniu obornika. — I w dalszym ciągu oprowadzając gości amantowscy spółdzielcy przypominają, że z początku konia tu nie było ani pług, a teraz maszyny są, i stodoła, i chlewnia, i obora, i domki.

Nie było na pozór w tym opowiadaniu nic nadzwyczajnego. Prawdopodobnie liczni członkowie licznych spółdzielni polskich w ten właśnie sposób zaczęliby opisywać ich dzieje. Lecz dla spółdzielców z Kornicy opowiadanie to było waż-

ne. Po raz pierwszy bowiem z tak bliska oglądali własną przyszłość.

Wreszcie Kocur powiedział:

— Wiecie, w zeszłe żniwa, tak u nas składnie szła praca, żeśmy i zboże sprzątnęli, i omłócili, i skup na czas oddali, nie pracując dłużej niż do piątej po południu.

Dziwne to były słowa. Tak dziwne, że aż się wydawały niechłopskie, niewiejskie. Takiej rzeczy nie wypatrzyli jeszcze kornicki spółdzielcy nawet w marzeniach o przyszłości.

Wyszli nad staw, łagodny wiatr letni objął ich ciepłym podmuchem. I nagle, ku zdumieniu obecnych, Jadwiga Wycisk wstydliwie poprosiła amantowskich spółdzielców:

— Możebyście tak kiedy do nas przyjechali i powiedzieli naszym ludziom o tych normach?

— Pewnie, możemy przyjechać — monotonicznie odparł Kępa.

Jadwiga Wycisk, przestraszona własną odwagą, cofnęła się o krok i dodała ciszej:

— Ale u nas nie ma jednoty. U nas tych norm nie będzie.

Wtedy to Jan Górszczyk, który nie chciał się w spółdzielni „zacharować na śmierć”, zwrócił się ku kornickim kobietom i gromiąc je za brak zdecydowania, gruchnął wielkim głosem:

— Wszystko będzie! Tylko trzeba zacząć chcieć!



„...o mury amantowskich domków mieszkalnych rozbiło się raz na zawsze wspomnienie wczorajszej brudnej wiejskiej chałupy, gdzie chłop żył w nędzy i stęchliznie...”



„...o mury amantowskich domków mieszkalnych rozbiło się raz na zawsze wspomnienie wczorajszej brudnej wiejskiej chałupy, gdzie chłop żył w nędzy i stęchliznie...”



List ARCHIPELAGU RIUW

CZESŁAW CZAPÓW

ROSZE, czytaj: M. Wagiman, sek. Rajat VI, Galang, Pasik Galang, Republik Indonesia. Sek. Rajat... słowo daje, może to znaczy: sekretarz radży? — Bardzoś to sprytnie wykombinował, ale czy w tym całym Pasik Galang są w ogóle jacyś radżowie? Może po prostu żyją tam jeszcze plemienni kacykowie z piórami na głowie? W Indonezji wszędzie jeszcze panuje straszny prymityw cywilizacyjny...

Dr Lech Godlewski, który tkwi nad stertą poutwieranych i porozrzucanych malowniczo książek, zdawałoby się bez reszty pochłonięty pracą, podnosi raptownie głowę i protestuje cicho, ale stanowczo. Znamy to dobrze. Potrafi, podczas pracy, z poświęceniem znosić hałaśliwość studentów, ale nie potrafi znieść choćby najciszej wypowiedzianej bzdury. Gromada studentów pochylona nad tajemniczym listem z Indonezji milknie.

— Nie, nie, moi drodzy — mówi dr Godlewski — Indonezja to kraj, który posiada także wielką, starą kulturę. A kultura dżawańska, moi mili, to co? Zachowały się przecież ślady jej bogactwa i rozwoju sięgające mniej więcej I wieku naszej ery. Pewno, Indonezja przedstawia jeszcze wielką różnorodność zarówno językową, jak i społeczno-gospodarczą. Czego tam nie ma! Jest i wspólnota pierwotna w tzw. „Zewnętrznych Posiadłościach” i w niektórych okolicach Nowej Gwinej; na Sumatrze, Bali i Celebesie spotykamy niedobitki feudalizmu, który ukształtował się tam jeszcze przed europejskim podbojem; a na Jawie np. czy Zachodniej Sumatrze panoszy się kapitalizm, ten najpaskudniejszy: kolonialny. Ale ta różnorodność społeczno-gospodarcza zginie szybko. Naród tam się tworzy, wielki naród indonezyjski. A... a z tym listem, to coś mi się zdaje, moi drodzy, że żaden sekretarz radży go nie napisał.

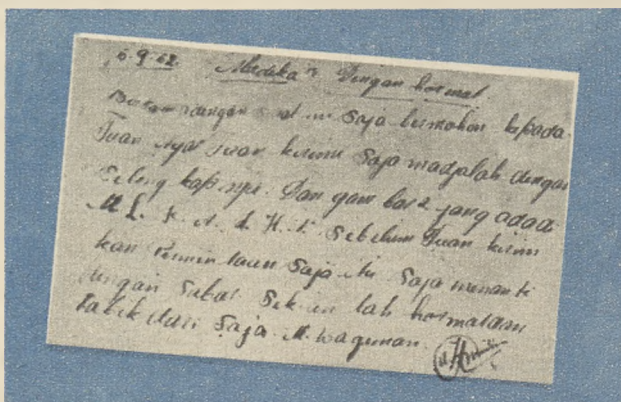
LIST WĘDRUJE

Z tym listem było tak:

Zaadresowano go w Indonezji: New Poland, więc zawędrował do Warszawy. Z poczty odesłano go do Pol-



Dzieci rybaków indonezyjskich z archipelagu RIOUW, być może koledzy autora listu, małego Wagimana.



„Merdeka!” — Tym słowem rozpoczął swój list młody M. Wagiman z Indonezji, a znaczy ono — wolność!

skiego Komitetu Obróńców Pokoju. W Komitecie medytowano nad listem, radzono się tego i owego, ale poza stwierdzeniem, że napisał go jakiś M. Wagiman i że przyszedł z Indonezji nie wykombinowano niczego. A potem przypomniano sobie, że istnieje w murach Uniwersytetu Warszawskiego dr Lech Godlewski, który wiele czasu spędził na Dalekim Wschodzie i orientuje się świetnie w zagadnieniach związanych z Polinezją. — Indonezja leży mniej więcej w tamtych stronach — stwierdzono — i zwrócono się o pomoc do Zakładu Antropologii UW, gdzie dr Lech Godlewski pracuje właśnie nad antropologiczną strukturą populacji wysp polinezyjskich. Niestety i dr Godlewski listu odczytać nie mógł, ponieważ nie zna języka, w którym go napisano. A napisano go w języku indonezyjskim.

Język indonezyjski zna Robert Stiller, poeta, autor licznych pieśni masowych. Ludzie, których zainteresowanie Wschodem równa się trudnej pracy poznawczej, szukają się wzajemnie. Dr Godlewski wiedział więc, do kogo się zwrócić.

— Odczytanie listu — opowiadał mi Robert Stiller — nie było łatwe. Zdarzały się i ortograficzne błędy i prowincjonalizmy. W ogóle moja praca nad tym listem była w równym stopniu pracą detektywa, co tłumacza.

PROŚBA WAGIMANA

A oto dosłowna treść listu:

„5.9.1952. Wolność! Przesyłam wyrazy szacunku. Pisząc ten list proszę Was równocześnie o wybaczenie i proszę byście przysłali mi komplety czasopism: „For A Lasting Peace”, „Czechoslovak Life” i „New Poland”. Będę czekał cierpliwie, aż raczyście mi przysłać to, o co proszę. Jeszcze raz składam wyrazy szacunku. M. Wagiman”.

A kim jest nadawca listu? M. Wagiman nie jest sekretarzem radży. „Sek. Rajat VI” znaczy „Szkoła Państwowa nr 6”. Potem następuje jakieś zamazane słowo, które wygląda na „Kelas V” a to znaczyłoby: „klasa V”. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że tajemniczy list napisał indonezyjski chłopiec, który, pragnąc otrzymać roczniki wyżej wymienionych pism postępowych, zakomunikował swoją prośbę nieznanemu „Panu Naczelnikowi Pism Zagranicznych”, urzędującemu w dalekiej Polsce.

Daleko jest z Pasik Galang do Polski. Miejscowość ta znajduje się na małej wyspie Galang. Leży ona na północno-wschodnim krańcu republiki indonezyjskiej. Dalej na północ tkwi już bastion kolonialnej przemocy Anglików — Singapore. A jeszcze dalej ziemie malajskiego półwyspu.

„Wolność” po malajsku nazywa się „merdeka”. Tym słowem zaczął swój skromny list mały, indonezyjski chłopiec. Powiedziano mi, że słowem tym zazwyczaj pozdrawiają się ludzie, których ojczyzną jest Indonezja; że jest ono tam codziennym, normalnym pozdrowieniem.

DLACZEGO „MERDEKA”?

Siedzimy w półmroku zatłoczonego książkami pokoju Roberta Stillera. Jest i dr Godlewski, jest i mgr Andrzej Wierciński, który studiuje problematykę antropologiczną i prehistoryczną Indonezji, jestem i ja, żeby posłuchać.

— Dlaczego „merdeka”, dlaczego akurat „merdeka”? — pytam.

To słowo znali dobrze japońscy okupanci. Z tym słowem przychodziła do nich syzka śmierć z rąk walczących o wolność Indonezji ludzi Szarifuddina. Zresztą

ma ono jeszcze starsze tradycje. Krzyczeli „merdeka” Indonezyjczycy w Semerangu i Surabai, gdzie w r. 1918 próbowano organizować rady marynarskie i żołnierskie. „Merdeka” było zawołaniem powstańców indonezyjskich w r. 1927. „Merdeka” wołali indonezyjscy patrioci przed łufami holenderskich plutonów egzekucyjnych.

To zawołanie walki stało się hasłem Republiki Indonezyjskiej, bo istotnie zrodziła się ona w walce, dzięki nowym ofiarom i nowym okrzykom: „merdeka!”

Nie umilkły one także i wtedy, kiedy kraj, choć ciągle jeszcze nie cały, uzyskał formalnie niepodległość, a zamiast kolonialnej przemocy Holendrów spadła na lud indonezyjski ekonomiczna przemoc obcego, przeważnie amerykańskiego, kapitału i własnej, indonezyjskiej burżuazji. We wrześniu 1950 roku, podczas historycznego strajku robotników przemysłowych i rolnych, który objął ponad milion ludzi, znowu krzyczano „merdeka!” na ulicach Semerangu i Surabai, na Jawie, Sumatrze i archipelagu Madoery.

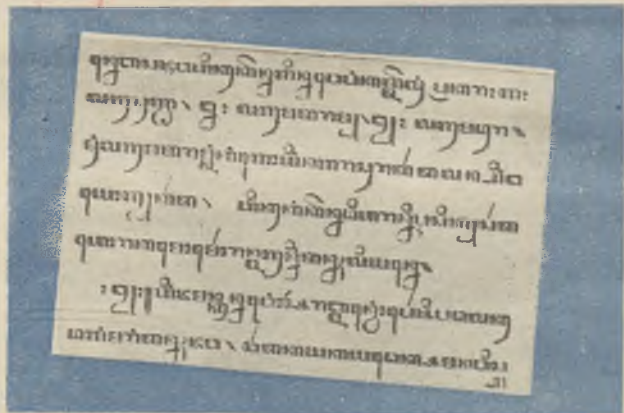
Ale słowo „merdeka”, obecnie codzienne pozdrowienie Indonezyjczyków, mówi o czymś jeszcze, jest nie tylko hasłem walki o niepodległość i społeczną sprawiedliwość. Jest także świadectwem narodzin wielkiego siedemdziesięciopięciomilionowego narodu. Używają go przecież ludzie różnych grup języków, których tak wiele istnieje na wyspach Indonezji. Dziś słowo „merdeka” łączy tych ludzi, daje im mocną świadomość narodowej wspólnoty i siły.

„Merdeka” to słowo malajskie, należy jednak ono także do języka indonezyjskiego, ponieważ język malajski stał się jego podstawą i zasadniczym członem. Historia języka indonezyjskiego jest jedyną w swoim rodzaju.

MISJA DOKTORA WAHIDDINA

W roku 1906 lekarz dżawański, Wahiddin Sudiro Husido, rozpoczął swoje słynne wędrówki po ziemiach Jawy, agituując za stworzenie specjalnego funduszu oświatowego; biedny, głównie z analfabetów złożony, lud dżawański taki fundusz stworzył. A w trzy lata później, w oparciu o zebrane fundusze, studenci dżawańskiej szkoły medycznej założyli postępową organizację „Wudi Utomo” (Piękny Cel), której zadaniem miało być szerzenie oświaty i zjednoczenie ludów Indonezji w jeden wielki naród indonezyjski. Hasła „Wudi Utomo” szerzą się jak płomień.

Na otwartym przez Wahiddina „Kongresie Młodej Jawy” postulowano zorganizowanie powszechnej oświaty, rozwój gospodarstwa wiejskiego, techniki i przemysłu, odrodzenie sztuki i nauki, zjednoczenie we



Tak drukowane są książki dżawańskie. Język dżawański zasilil słownictwem język ogólnindonezyjski, zwany „Bahasa Indonesia”, oparty na języku malajskim.

wspólnej społeczności wszystkich ludów Indonezji. Był to październik 1908 roku. A w dwadzieścia lat później na Kongresie Młodzieży Indonezyjskiej, podsumowując dorobek „Wudi Utomo”, proklamowano oficjalnie jako język Indonezji tzw. „bahasa Indonesia”.

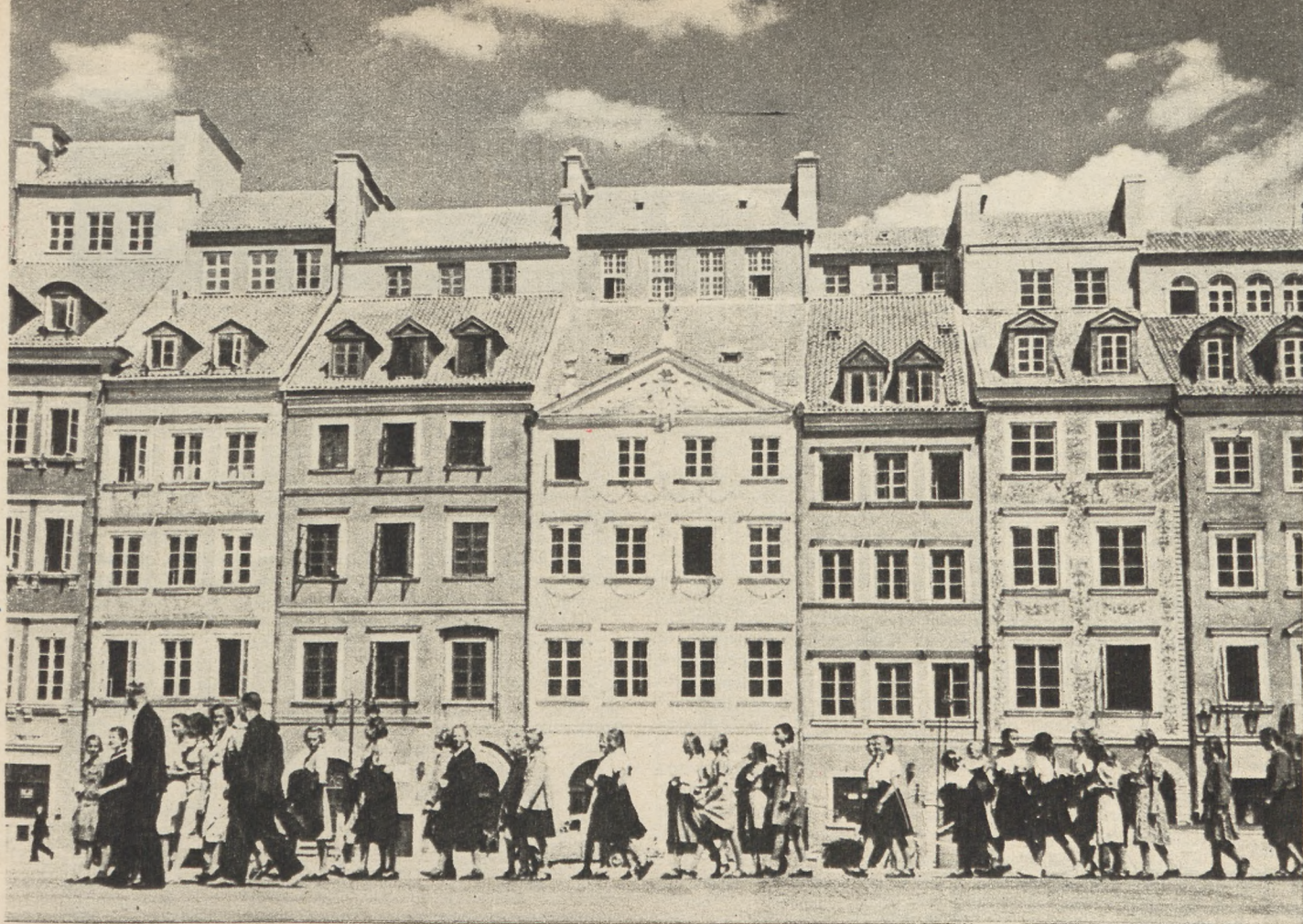
„Bahasa Indonesia” w gruncie rzeczy niewiele się różni od malajskiego. Uproszczono pisownię, wprowadzono drobne ulepszenia gramatyczne, wzbogacono język pewną ilością słów zaczerpniętych przede wszystkim z dżawańskiego.

Nie było rzeczą przypadkową, że właśnie malajski stał się podstawą języka Indonezji. Język malajski jest bowiem prosty w konstrukcji, łatwy i równocześnie precyzyjnie komunikatywny, a co najważniejsze — bardzo rozpowszechniony. Mimo że językiem tym, jako ojczystym, posługuje się zaledwie około trzech milionów ludzi, mieszkających głównie na półwyspie Malajskim, język ten od wieków znano dobrze na wielkich przetrzeniach archipelagu Sunda, w Indonezji, w Oceanii i na wybrzeżach kontynentu azjatyckiego.

Proces tworzenia języka indonezyjskiego trwa. Wizja jednolitej społeczności indonezyjskiej staje się faktem jak najbardziej realnym, którego wymowę poznali już na własnej skórze i obcy wrogowie i rodzimi, indonezyjscy kolaboranci.

Siedzimy w półmroku zatłoczonego książkami pokoju Roberta Stillera. Postanawiamy posłać list do Pasik Galang, a z nim plik czasopism, o które prosi mały Wagiman, mieszkający na małej wyspie małego archipelagu Riouw w wielkiej Indonezji. A potem dr Godlewski opowiada o Polinezji, a potem Robert Stiller mówi o Indonezji, a potem dr Godlewski znowu o Polinezji, a potem trzeba się wynosić, bo już późno.

Ale jeszcze na ciemnej ulicy, drepnąć powoli po warszawskim chodniku, gadamy o tamtych „ciepłych krajach”, gdzie przyroda jest taka różna od tej naszej, mazowieckiej, a ludzie ciągle jeszcze walczą o wolność.



Wycieczki przychodzą i odchodzą — ale mieszkańcy wskrzeszonego z gruzów warszawskiego Rynku Starego Miasta zostają. Ich mieszkania w pięknie zdobionych starych kamieniczkach są nowocześnie wykończone. Czynne są już sklepy i restauracje.



Gdy powrócicie tam skąd przybyliście — zabierzcie ze sobą wrażenia z odbudowy starych domów w Nowej Warszawie. Opowiedzcie waszym bliskim, że stolica Polski rośnie i pięknieje.

Pierwszy miesiąc

Zdjęcia: JAN KOSIDOWSKI



„Jeśli nie chcesz mojej zguby — „Pod Krokodyla” zaprowadź mnie luby!” — mówią dziś warszawianki do zakochanych młodzieńców. W tej to oberży (tak dawniej zwano zakłady zbiorowego żywienia) kelnerki, w strojach sprzed dwustu lat, dowiadują się co będzie na obiad. Może udieć zuba? Może chrapy łosia? I pytają kierownika, czy przed wiekami również tak mawiano: „Koleżanka poda!”



ZEKŁ robotnik: „Składamy Warszawę i całemu narodowi owoc naszych wieloletnich zmagania ze zwalami gruzu, tysiącami walących się zniszczonych murów”. Było to przed miesiącem. Teraz staromiejskie domy i zamieszkujący je ludzie żyją już zwykłym, codziennym życiem. Domy — ujrzały już na swych dachach pierwszych kominarzy. Ludzie — czynią już normalne zakupy w sklepie na rogu, chodzą do fryzjera i do kawiarni, przyjmują wizyty znajomych — chętnych ujrzeć nowoczesnego wyposażenia zabytkowych kamieniczek. Tylko patrzeć — a zapelnia się szkoły i przedszkola, wykańczane pośpiesznie przed nowym rokiem szkolnym. A zegar staromiejski — jak powiedział Stanisław Albrecht — „odmierzać będzie godziny naszych nowych czasów — czasów, które my budujemy dla szczęścia naszego narodu i naszej Ojczyzny”.



W aptece pod prądownym znakiem, można dziś dostać penicylinę i inne lekarstwa, nieznane dawnym eskulapom.

Za chwilę skończy się przerwa obiadowa i trzeba będzie wracać z promieni sierpniowego słońca w mrok gotyckich piwnic, gdzie ta grupa budowniczych Starego Miasta wykańcza pomieszczenia dla restauracji „Pod kamiennymi schodkami”.



MONACHIUM

2)

STEFAN ARSKI



TYMCZASEM, kiedy czwórka wielkich zbirów dobijała w Monachium Czechosłowację*, za oknem kręciły się już szakale. To Beck zgłaszał swe pretensje do resztek łupu.

Czechosłowacja dawno już była solą w oku sanacyjnych władców Polski. „Mocarstwowe” koncepcje Piłsudskiego i Becka wskazywały na Słowację, jako na najbliższy etap ekspansji. Trudno określić, kiedy dokładnie zrodziła się w kołach sanacyjnych myśl oderwania Słowacji i uczynienia z niej marionetkowego państewka pod polskim protektoratem. W każdym razie było to jeszcze na wiele lat przed Monachium. Beck przyznaje w swych pamiętnikach, że „żądania terytorialne (wobec Czechosłowacji) można było usprawiedliwić argumentami historycznymi i postawą ludności, ale ja myślałem przede wszystkim o przyszłości naszych stosunków ze Słowacją”. A już w roku 1934, zaraz po zawarciu paktu z Hitlerem, rząd sanacyjny zaczął czynić aktywne przygotowania do czynnego udziału w ewentualnym rozbiórce Czechosłowacji. Beck wspomina w pamiętnikach o swej wizycie w Moszczenicy, koło Żywca, jesienią 1934, kiedy Piłsudski spędzał tam wakacje:

„W Moszczenicy Marszałek wypoczywał, nie zajmując się sprawami bieżącymi, niemniej jednak pracował w dalszym ciągu niezmordowanie nad problemami międzynarodowymi i wojskowymi”.

Przedmiotem tej „niezmordowanej pracy” był właśnie rozbiór Czechosłowacji.

„Między innymi zorganizował w Moszczenicy grę wojenną, której tematem były operacje, jakie Polska miałaby przeprowadzić, gdyby Czechosłowacja rozpadła się lub skapitulowała wobec Niemiec... Wszyscy oficerowie, z którymi spędziłem tych kilka godzin w Moszczenicy, otrzymali jako wyraźne zadanie — polecenie studiowania zagadnień strategii i operacji na naszym froncie południowym i na różnych odcinkach terytorium, położonego na południe od Karpat”.

W cztery lata później nastąpił upragniony przez Piłsudskiego i jego następców moment wcielenia tych planów w życie. Rzecz była zresztą z góry ukartowana między Warszawą a Berlinem.

6 września Beck informuje swych podwładnych o roli Polski w konflikcie sudeckim.

„Beck stwierdza — notuje Szembek — że w Berlinie uważa się nasze zachowanie za czynnik decydujący w wypadku, gdyby sprawa czeska doprowadziła do konfliktu. Mają tam (tj. w Berlinie) dla nas wiele względów”.

Polska miała więc wyznaczoną w tej rozgrywce rolę, której prawidłowe odegranie uważał Berlin za „czynnik decydujący”. W zamian mogła liczyć na „względę”. Na dziesięć dni przed Monachium Hitler wezwał do siebie ambasadora Lipskiego, udzielił mu instrukcji na temat zachowania się Polski w narastającym konflikcie, a równocześnie okazało się, co to są za „względę”, na które Beck może liczyć:

„Kancelarz do mojej całkiem poufnej wiadomości — z zaznaczeniem, że mogę z tego zrobić właściwy użytek — oświadczył już dziś, że w razie, gdyby doszło między Polską a Czechami do konfliktu na tle naszych interesów w Cieszynie, to Rzesza stanie po naszej stronie”.

Krótko mówiąc, za pomoc w zbrodni dostaniecie ochłap zdobyczy.

Beck w lot podchwycił intencje Hitlera. Natychmiast przystąpił do organizowania dywersji na flance Czechosłowacji. Założenie było proste: w obliczu nacisku Hitlera, pod groźbą równoczesnego ataku polskiego — Czechosłowacja nie będzie w stanie próbować oporu zbrojnego. Beck był tu niejako odwodową armią Hitlera. Jako taki spełnił swe zadanie bez zarzutu.

Około 20 września, a więc w chwili, gdy Hitler jawnie już domaga się aneksji Sudetów, prasa sanacyjna na dany znak wszczyna dziką nagonkę przeciwko Czechosłowacji. Zgraja bojówkarzy sanacyjnych i oenerow-

*) Porównaj początek artykułu w numerze poprzednim.

skich przebiega Warszawę z okrzykami: „Wodzu, prowadź nas na Cieszyn!” Po tym ulicznikowskim preludium zaczyna się właściwa akcja „dyplomatyczna”. Jej charakter najlepiej oddaje sekretarz ambasady polskiej w Londynie, Roman hrabia Michałowski, podkreślając w rozmowie z p. Strangiem, że „Niemcy osiągnęły wielokrotnie znakomite wyniki, stosując określone metody... Polska jest zdecydowana tym razem rozwiązać problem swych mniejszości w Czechosłowacji równolegle z Niemcami”. Była to więc prosta zapowiedź zastosowania hitlerowskich metod. Później do brytyjskiego ambasadora w Warszawie, telegrafując 22 września do Londynu: „Rozmawiałem dziś rano z pułkownikiem „Pelevyansky” (niewątpliwie chodzi o pułkownika Pełczyńskiego — przyp. autora), szefem drugiego oddziału... Jego zdaniem, doświadczenie uczy, że najlepszym sposobem uzyskania wyników, jest demonstracja siły...”

Zgodnie z tym następuje koncentracja polskich oddziałów nad granicą Czechosłowacji. A 27 września, właśnie w chwili, gdy Chamberlain wybiera się do Monachium — Beck wystosowuje ultimatum do Pragi.

Daremnie rząd Czechosłowacji próbuje znaleźć rozwiązanie kompromisowe i przyrzeka, za cenę neutralności Polski, załatwić w przyszłości wszystkie żądania Becka. Beck pozostaje nieugięty. Jest przecież „instrumentem Berlina” i zna swoje obowiązki. A swoją część łupu ma już prawie w kieszeni. Tym razem jeszcze Hitler dotrzyma słowa. Dywersja musi więc być doprowadzona do końca. Albowiem, jak notuje ambasador brytyjski, Kennard, Beck pragnie za wszelką cenę zapobiec działaniu sojuszu czechosłowacko-francusko-radzieckiego i wystąpieniu zbrojnego sojuszników Czechosłowacji przeciwko Hitlerowi. Nie liczy się też z gwałtownym protestem społeczeństwa polskiego, które stanowczo sprzeciwia się zbrodni podziału Czechosłowacji i ze wstrętem piętnuje zdradziecki w niej udział rządu sanacyjnego. Spontaniczne demonstracje anty-hitlerowskie i anty-sanacyjne na ulicach miast polskich są brutalnie rozpędzane przez policję.

Przy akompaniamencie zwycięskich fanfar reakcyjnej prasy polskiej Rydz-Śmigły zajmuje Cieszyn, darowany Beckowi przez Hitlera. Niepodległość Czechosłowacji została przekreślona, choć istnieć miał jeszcze przez kilka miesięcy okrojony kadłub bezsilnego państwa. Polska oskrzydłona została od południa, jej siła obronna z chwilą zniszczenia bastionu czechosłowackiego stała się równa niemal zeru. Goering tłumaczył Mussolinimu następstwa tego, co się stało:

„Akcja, przedsięwzięta przez Rzeszę w Czechosłowacji, ma swoje korzyści dla państw osi w wypadku, gdyby Polska znalazła się po stronie wrogów. Niemcy będą mogły zaatakować Polskę z dwóch flank i znajdować się będą w odległości zaledwie 25 minut lotu od nowych ośrodków przemysłowych Polski...”

Granica polsko-niemiecka, która jak potężne kleszcze ujmowała Polskę z trzech stron — od zachodu, północy i południa — stała się teraz jeszcze trudniejsza, jeśli nie całkiem niemożliwa do obrony. Sanacyjni władcy kraju postarali się, by południowe ramię tych kleszczy przedłużyło się o jakie osiemset kilometrów.

Ludzie sanacji, biorąc udział w rozbiórce Czechosłowacji, wiedli kraj do nieuchronnej katastrofy. A tymczasem grabież ziem czechosłowackich poczytywali sobie za ogromną zasługę. Były premier Koziłowski (ten sam, który w czasie wojny stał się kolaborantem i uciekł do Berlina) oświadczył: „Polityka zagraniczna jest najbardziej ośniewającym odcinkiem działalności naszego rządu”.

Ambasador Lipski mówił Ribbentropowi:

„Kryzys Czechosłowacji dowiódł, że umowa polsko-niemiecka oparta jest na trwałych podstawach. Polityka polska ułatwiła Niemcom zajęcie kraju sudeckiego i w dużej mierze przyczyniła się do rozstrzygnięcia tego problemu w duchu niemieckich żądań”.

Zasługa była bezsporna... wobec Hitlera.

W całej ówczesnej Europie jeden tylko rząd spełnił swój obowiązek sojusznika i obrońcy praw narodów. Tym rządem był rząd radziecki.

Już nazajutrz po Anschlussie rząd radziecki podjął kolejną inicjatywę akcji przeciwko agresorom. Zwracając się do rządów mocarstw zachodnich rząd radziecki zaproponował natychmiastowe rozważenie wspólnych środków, jakie należy zastosować, by uniemożliwić na przyszłość powtórzenie się aktów agresji. Propozycje te zostały jednak przez Francję i Anglię — jak wszystkie poprzednie — odrzucone. W chwili zagrożenia Czechosłowacji rząd radziecki oficjalnie oświadczył, że gotów jest wystąpić przeciwko Hitlerowi po stronie Czechosłowacji wówczas, gdy zgodnie z brzmieniem paktu francusko-radzieckiego Francja wystąpi w obronie Czechosłowacji.

Rząd radziecki wielokrotnie i stanowczo podkreślał swą gotowość działania. Jeszcze w marcu 1938 roku, a więc we wczesnej fazie konfliktu, ambasador czechosłowacki w Moskwie, Zdenek Fierlinger informował Pragę:

„W porozumieniu z Coulondrem (ówczesny ambasador Francji w Moskwie — przyp. aut.) zapytałem Potiemkina (ówczesny zastępca komisarza spraw zagranicznych ZSRR — przyp. aut.) czy — w związku z za-

pewnieniem ze strony Francji — możemy również liczyć na sojusz z ZSRR. Potemkin w kategorię spójny sposób odpowiedział twierdząco, dodał jednak, że stanowisko Francji wobec ZSRR nie jest dość rzetelne”.

Ale rząd radziecki nie poprzestał na samych tylko oświadczeniach. Zdając sobie sprawę z „nie dość rzetelnego stanowiska Francji” — starał się nakłonić Paryż do konkretnych działań. W początkach września Litwinow składał w Paryżu szczegółowe propozycje wszczęcia natychmiastowych rozmów sztabowych z udziałem przedstawicieli Francji, Czechosłowacji i Związku Radzieckiego. Równocześnie wzmacnia się tempo radzieckich dostaw wojskowych dla Czechosłowacji. Fierlinger informuje Pragę, że „nowe zamówienia będą natychmiast wykonane”. Gdy w rok później Polska znajdzie się w sytuacji Czechosłowacji i rząd Polski zwróci się do swego sojusznika brytyjskiego o szybką dostawę broni, samolotów, amunicji — sztab brytyjski będzie doradzał Polsce (już wtedy w połowie zalanej przez hordy hitlerowskie), by próbowała lokować zamówienia w... krajach neutralnych, bo dostawy brytyjskie nie nastąpią przed upływem sześciu miesięcy. Rząd radziecki inaczej pojmował obowiązek sojusznika. Dostawy broni, sprzętu i samolotów szły w terminach przyspieszonych. Nacisk dyplomatyczny Związku Radzieckiego wzmacniał się z dnia na dzień.

20 września, gdy sytuacja jest już w najwyższym stopniu napięta — rząd radziecki poleca zakomunikować prezydentowi Czechosłowacji co następuje:

„1. Na zapytanie Benesa, czy ZSRR udzieli zgodnie z traktatem bezzwłocznej i skutecznej pomocy Czecho-



Ohydnymi plakatami judził rząd Becka i Rydza do wbić — zgodnie z intencjami Hitlera — noża w plecy CSR

słowacji, jeśli Francja pozostanie jej wierna i również udzieli pomocy, może Pan dać w imieniu rządu Związku Radzieckiego odpowiedź twierdzącą.

„2. Takiej samej twierdzącej odpowiedzi może Pan udzielić na drugie pytanie Benesa — czy ZSRR udzieli Czechosłowacji pomocy jako członek Ligi Narodów na zasadzie art 16 i 17, jeśli w razie napaści ze strony Niemiec Benes zwróci się do Rady Ligi Narodów z prośbą o zastosowanie wymienionych artykułów.

„3. Proszę zakomunikować Benesowi, że o treści naszej odpowiedzi na oba jego pytania powiadamy również rząd francuski”.

Ale rząd francuski zdradził. Daladier udał się do Monachium. W parę miesięcy później, 4 kwietnia 1939 roku, korespondent moskiewski „New York Times”, Walter Duranty, tak relacjonował przebieg owych dni:

„Głębokie oburzenie ogarnęło Związek Radziecki w okresie tzw. kryzysu monachijskiego. Rząd radziecki złożył zapewnienie w Paryżu, Londynie i Genewie, że ZSRR gotów jest wypełnić swe zobowiązania, płynące z paktu z Francją i Czechosłowacją... Rosjanie zaproponowali również odbycie narad wojskowych w obliczu niebezpieczeństwa wybuchu działań nieprzyjacielskich... Propozycje te zignorowano...”

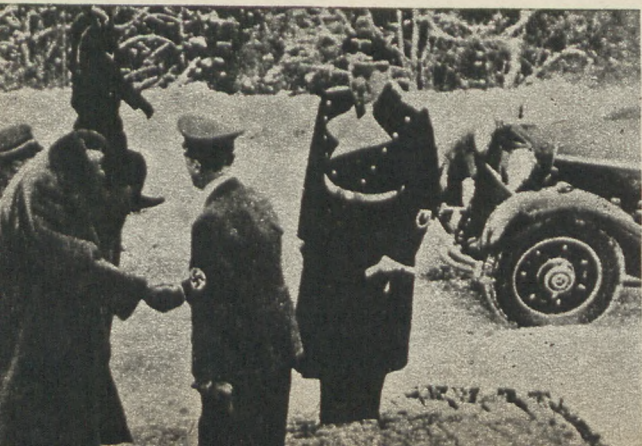
Tak więc raz jeszcze Związek Radziecki podniósł swój głos w obronie ofiary hitlerowskich gwałtów, i raz jeszcze zachodni mężowie stanu odrzucili jego propozycje. Propozycje, które mogły nie tylko uratować Czechosłowację, ale odwrócić grożącą światu katastrofę.

Winston Churchill pisze z goryczą w swych wspomnieniach wojennych:

„Propozycje radzieckie zostały zignorowane. Nie rzucano ich na szalę walki przeciwko Hitlerowi... Drogośmy za to później zapłacili”.

Jakżeby mogło być inaczej, skoro ostrze haniebnej umowy monachijskiej wymierzone było właśnie przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Pogląd generała Keitla

Już niżej Beck nie mógł się pokłonić Hitlerowi, gdy w Berghofie czerpał natchnienie do nowych intryg



w tej sprawie już znamy. A oto, co pisał reakcyjny publicysta francuski, Leon Bally, w „Echo de Paris“:

„Najważniejszą korzyścią porozumienia monachijskiego jest to, że została zeń wyłączona Rosja. Trudno o lepsze posunięcie, by wyrugować ZSRR z Europy. Obręcz drutu kolczastego, którą pragnął otoczyć Rosję stary Clemenceau, jest zawsze gotowa do użytku. Niech więc nareszcie zostanie użyta!”

Na tę samą nutę trąbiła cała reakcja europejska i amerykańska.

Chamberlain wrócił z Monachium zapowiadając swym rodakom, że przywiózł pokój na okres życia całego pokolenia. W kieszeni miał nie tylko akt rozbioru Czechosłowacji, ale i deklarację przyjaźni z Hitlerem i pakt o nieagresji między Anglią a Niemcami.

W kilka dni później, 6 grudnia 1938 roku, w Paryżu fetowano radośnie Ribbentropa. Podpisany został z kolei pakt francusko-niemiecki. Była to znowu niedwuznaczna sugestia: droga na Wschód jest wolna, tyły są zabezpieczone. Hitler triumfował. Rękami anglo-francuskich polityków poszarpał wszystkie ogniwa europejskiego bezpieczeństwa. Mógł teraz robić, co chciał. 15 marca 1939 roku zagarnął bez wystrzału resztę Czechosłowacji. Z arsenału antyhitlerowskiego ubyło 600 samolotów, blisko 3.000 dział, 5.000 czołgów, 50.000 karabinów maszynowych, milion ręcznych.

Fala oburzenia zalała Europę.

Opinia publiczna wszystkich krajów domaga się zdecydowanych kroków przeciwko Hitlerowi. Prości ludzie czują, że nikt nie jest pewien dnia ani godziny. Oczy ludów, znękanych groźbą wojny i zdradzonej przez własnych polityków, zwracają się ku Moskwie. Stamtąd znowu rozlega się głos protestu:

„Rząd radziecki — brzmi nota ZSRR — nie może uznać włączenia do Rzeszy Czech, ani — w takiej czy innej formie — aneksji Słowacji za krok legalny i zgodny z ogólnie przyjętymi zasadami prawa międzynarodowego i sprawiedliwości, bądź też z zasadą prawa narodów do stanowienia o swym losie”.

Wzburzenie opinii po wkroczeniu Hitlera do Pragi jest tak ogromne, że nawet Chamberlain i Daladier nie czują się na siłach otwarcie przeciwstawić się naciskowi mas. W obliczu powszechnego wołania o porozumienie Zachodu ze Związkiem Radzieckim celem stworzenia zbiorowej zapory przeciwko dalszemu pochodowi Hitlera — rządy Francji i Anglii pozornie zgadzają się na zmianę swej dotychczasowej polityki. Już za parę tygodni okaże się, że miało tu miejsce nowe, jeszcze podstępniejsze, jeszcze nikczemniejsze oszustwo.

Chamberlain i Daladier ani na chwilę nie zrezygnowali z podwójnej gry. Podejmując pod gwałtownym naciskiem opinii publicznej rokowania ze Związkiem Radzieckim — przygotowywali równocześnie nowe Monachium. Tym razem ofiarą jego miała paść Polska.

Rząd Becka i Rydza, rząd zdrady narodowej, współdziałał w tym z całą energią. Robi, co może, by udaremnić porozumienie z ZSRR. Tym samym kopie grób dla Polski.

Pomagały mu w tym „zbożnym” dziele wszystkie oficjalne czynniki polskiego życia politycznego. Przywódcy stronnictw tzw. opozycji — od PPS aż po endecję i ONR — mają w tym udział nie mniej godny, niż rządzący obóz sanacyjny. Nienawisć do Związku Radzieckiego i strach przed własnym ludem i jego żądaniami jednocy wszystkie reakcyjne żywioły polityczne w Polsce.

Wszystko to działo się wbrew woli olbrzymiej większości społeczeństwa polskiego. Masy ludowe Polski sprzeciwiały się zdecydowanie polityce współpracy z hitlerowcami. Była ona powszechnie uważana za politykę zdrady narodowej. A Beck, jako symbol tej polityki, był jednym z najbardziej znienawidzonych przedstawicieli znienawidzonego reżymu sanacyjnego. Masy robotnicze i chłopskie protestowały gwałtownie przeciwko zaprzęgnięciu Polski Hitlerowi. W całokształcie walki mas ludowych z dyktaturą sanacyjną, z polityką bezlitosnej eksploatacji robotnika i chłopa, i niehumanitarnego ucisku klasowego i narodowościowego — walka przeciwko polityce zdrady narodowej odgrywała w tym okresie rolę przodującą.

Walce tej przewodziła Komunistyczna Partia Polski. KPP ostrzegała naród przed następstwami prohitlerowskiej i antyradzieckiej polityki reżymu sanacyjnego.

Już w lutym 1934 roku, natychmiast po podpisaniu paktu sanacyjno-hitlerowskiego, Komunistyczna Partia Polski ostrzegała, iż pakt ten wzmaga niebezpieczeństwo wojny. W październiku 1935 roku KPP nieomylnie wskazywała kierunki agresji faszystowskiej:

„Dziś Abisynia, jutro Kłajpeda, pojutrze zabór Litwy przez Polskę, uderzenie na państwa bałtyckie, nowa wyprawa na Kijów i niemiecko-polsko-węgierski najazd na Czechosłowację”.

Z całą stanowczością KPP biła na alarm:

„Jasne jest, że jedynie niebezpieczeństwo zagrażające dziś niepodległości Polski — to Niemcy Hitlera, Goeringa i Rosenberga”.

KPP wskazywała drogi ratunku, nawoływała do porozumienia i sojuszu z ZSRR. Mobilizowała masy pod hasłem obrony zagrożonej niepodległości. Pod jej przewodem tworzył się jednolity front klasy robotniczej i front ludowy mas pracujących Polski w obronie niepodległości i bezpieczeństwa ojczyzny.

Toteż przeciwko KPP zwracała się cała furia prześladowań i terroru sanacyjnego. W zwalczaniu komunizmu i oporu mas, reżym sanacyjny korzystał z pełnego poparcia wszystkich sił reakcji polskiej. Od endecji i ONR aż po prawicowe kierownictwo PPS. Szczególnie haniebną rolę odegrało tu kierownictwo PPS i kierownictwo Stronnictwa Ludowego. One to właśnie przodowały w szerzeniu obłędnej nienawiści do Związku Radzieckiego.

Polityka zdrady narodowej, realizowana rękami pilśduczyny i jej sojuszników spod znaku endecji, prawicy ludowcowej i prawicy pepesowskiej, doprowadziła w końcu do wrzesniowej katastrofy.



W dniu święta narodowego policja paryska zamordowała idących w pochodzie sześciu robotników algierskich i jednego metalowca paryskiego, którego rodzinę oraz manifestacyjny pogrzeb widzicie powyżej

POGROBOWCY BASTYLII STRZELAJĄ...

Nasz korespondent Francis Cremieux nadesłał z Paryża reportaż demaskujący kulisy krwawych zająć 14 lipca

NIEDAWNO Bidault — minister spraw zagranicznych, przebywał w Waszyngtonie na konferencji trzech, która miała na celu nie doprowadzenie do odpreżenia napięcia międzynarodowego, ale przygotowanie napastniczej armii europejskiej pod przewodem odwetowego Wehrmachtu. 14 lipca Bidault zgodził się na ponowną sprzedaż krwi francuskiej za nowy pakiet dolarów, za nową „pomoc” amerykańską. Rząd francuski zorganizował „reklamowy” raid spadochroniarzy korpusu ekspedycyjnego przeciw wietnamskiemu miastu Langson, dawno już wyzwolonemu przez armię demokratyczną. Manewr ten służył miał do poparcia nowych zabiegów o amerykańskie fundusze. Ten cynizm i to kupczenie krwią francuską wywołało gwałtowne oburzenie opinii publicznej i nawet części prasy burżuazyjnej.

W przededniu 14 lipca, patrioci uwięzieni za udział w akcji przeciw wojnie kolonialnej, jak sekretarz generalny CGT — Alain le Leap, redaktor naczelny „Humanité” — André Stil i ich towarzysze, domagali się ponownie uwolnienia. Decyzja miała zapasć 16 lipca. Jednym z haseł manifestacji ludowej 14 lipca miała być właśnie obrona swobód demokratycznych, żądanie uwolnienia więźniów politycznych i zaniechania nagonki na komunistycznych deputowanych. Prowokacja zorganizowana z zimną krwią przez policję rządową miała zastraszyć robotników i „usprawiedliwić” przetrzymywanie w więzieniu patriotów, sprzeciwiających się kontynuowaniu wojny w Vietnamie.

Przez całe rano rząd kazał defilować Polami Elizejskimi spadochroniarzom z korpusu ekspedycyjnego, a po południu ci umundurowani gangsterzy usiłowali z pomocą policji spowodować zająć z uczestnikami pochodu ludowego — co im się nie udało dzięki opanowaniu i zimnej krwi robotniczej służby porządkowej. W całkowitym spokoju tradycyjny pochód posuwał się pod ulewem deszczem; w zwartym szyku, otoczeni nienaganną służbą porządkową, przeszli też pod trybuną na placu de la Nation robotnicy

algierscy, którzy są we Francji niehumanie wyzyskiwani. Następnie pochód rozwiązał się; sztandary schowano do pokrowców. Ulewa wzmogła się — strugi wody spływały na zgromadzone na placu tłumy. Mężczyźni i kobiety poczęli szukać schronienia przed deszczem w bramach i sąsiednich kawiarniach. W tym momencie rozstawieni wokół placu policjanci, w cywilu i umundurowani, rzucili się z pałkami gumowymi na odchodzących Algierczyków, do których też poczęli z bliska strzelać. Zaskoczeni Algierczycy najpierw cofnęli się, by później, wspólnie z towarzyszami francuskimi, bez broni rzucić się na morderców robotników, aby wyrwać im aresztowanych lub rannych towarzyszy. Policjanci ustąpili i dopiero posiłki policyjne rzuciły się znowu na tłum, ponownie strzelając. Świadkowie widzieli, jak policjanci klękali za drzewami, spokojnie celowali i strzelali z upodobaniem do robotników północno - afrykańskich. Policja miała rozkaz doprowadzenia do zająć za wszelką cenę; wszystkie zamordowane ofiary poległy od kul w głowę lub w serce, co wskazuje na premedytację i obalę lansowaną przez ministerstwo spraw wewnętrznych tezę „obrony własnej”.

Siedmiu robotników padło ofiarą rasizmu policyjnego. Setki innych odniosły rany. Raz jeszcze scementowana została krwią solidarność w walce ludów kolonialnych i robotników francuskich. To morderstwo policyjne sześciu Algierczyków i jednego metalowca paryskiego nie tylko nie zastraszyło robotników, ale wzmocniło ich jedność w walce. Lud Paryża zgotował wspaniały pogrzeb męczennikom wolności. Delegacja Partii Komunistycznej i Związków Zawodowych towarzyszyła zamordowanym Algierczykom w ich ostatniej podróży ku ojczyźnie, świadcząc tym o braterstwie broni, które jednocy patriotów algierskich i francuskich przeciw faszyzmowi i kolonializmowi.

F. Cremieux



Krew się polała po paryskim bruku w rocznicę zburzenia Bastylli — do szpitali dowieziono rannych.

Lud Paryża złożył wieńce na wystawionych w meczecie trumnach poległych Algierczyków. Straszliwe warunki bytowania algierskich robotników zjednały im przydomek „pielgrzymów głodu”.



HISTORIA PANCERZA

JERZY JANICKI

Zdjęcia: W. PRAŻUCH i Z. WDOWIŃSKI

CZUJĘ się trochę jak widz kinowy, choć mój „seans” trwał nie dwie godziny, ale półtora miesiąca, i nie przesiedziałem tego czasu na oznaczonym numerkiem krześle, lecz na dość ruchliwej trasie Nowa Huta — huta „Ferrum”.

W Nowej Hucie powiedział mi jeden inżynier: „...a tu, proszę was, stanie drugi wielki piec”. I wskazał ręką obszerną, nagą przestrzeń, gdzieś tam tylko wzruszoną łopatom lub porytą zębami kopaczki. Rozpoczęły się roboty przy fundamentach. „Więc — powiada mój inżynier — tu stanie wielki piec”.

A niedługo potem w wielkiej hali huty „Ferrum” zobaczyłem kilkupiętrowe stalowe pierścienie z napisami „N.H.W.P.2”. Objasniono mi ten skrót: „Nowa Huta — Wielki Piec Nr 2”.

I seans skończony; happy end dwóch reporterskich podróży otwiera mi szeroko oczy, więc wciąż stoję gapiąc się na prawie gotowy wielki piec, pod który przed półtora miesiącem wytyczano łączkę.



Zaczyna się zawsze od planów... ale od planów do zmontowania pieca daleka droga.

Huta „Ferrum” w niemałym stopniu i od długiego już czasu buduje Nową Hutę. Stale dostarcza rur wodociagowych dla wodnej magistrali kombinatu, przygotowała już jeden wielki piec, teraz zaś montuje drugi.

Ten pierwszy wielki piec budowano osiemnaście tygodni. Tymczasem, gdy ogłoszona została uchwała rządu w sprawie dostaw dla Nowej Huty, a prace przy montażu drugiego pieca były ledwo zaczęte, załoga postanowiła w swym zobowiązaniu: „Montaż pancerza dla wielkiego pieca do Nowej Huty ukończymy 15 lipca”.

Czyli... zaraz, zaraz — zaczęto się pośpiesznie zastanawiać w różnych wydziałach i w dyrekcji „Ferrum” — czyli za dziesięć tygodni! Któż to podjął takie zobowiązanie? Brygada Ludwika Łyski? No, owszem, owszem — doskonały kolektyw... Czy jednak nie za śmiało takie skrócenie terminu?

Przecież oni sami — ta właśnie brygada Ludwika Łyski — montowała dotąd pancerz do pierwszego nowohutnickiego pieca osiemnaście tygodni. A teraz osiem tygodni mniej?

Wielki piec to olbrzym; potężny, wielopiętrowy kocioł z drabinkami, schodkami, gankami, rurami, które jak wygięte ramiona sięgają w różne strony. Takich wielkich

Pomysł Pietrasa był dobry, na każdej płycie przyspawana się teraz specjalny uchwyt.



pieców mieć będzie Nowa Huta kilka i razem produkować będą na dobę tysiące ton surowki.

A zatem skrócić budowę czegoś, co w swym stalowym brzuchu pomieści morze roztopionego metalu, skrócić taką budowę prawie o połowę?

Więc mistrz Franas, który sam należy do ludzi odważnych i zdecydowanych, podrapał się za uchem, niepewnie spoglądając na Łyskę:

— Myślisz, Ludwik, że dacie radę?

— No.

— W dziesięć tygodni?

— W dziesięć.

Franas potrząsnął trzymanym w ręku zobowiązaniem brygady; już był zdenerwowany:

— Przecież stawiałeś pancerz dla „Kościszki”?

— Stawiałem.

— Przez osiemnaście tygodni?

— Przez osiemnaście — śmiał się do niego Łysko, błyskając ukrytymi z boku złotymi zębami.

— I pierwszy piec dla Nowej Huty też przez osiemnaście. Dlaczego więc teraz potrafisz nagle w dziesięć?

— A doświadczenie z budowy poprzednich? — Łysko zmrużył oko.

— Na doświadczenia daję ci tydzień... no — dwa — zawahał się mistrz Franas.

— A uchwała rządu, aby szybciej i lepiej robić dla Nowej Huty? — ciągnął dalej spokojnie Łysko.

— Na uchwałę daję ci też dwa tygodnie — zgodził się mistrz — a gdzie dalsze cztery?

— O tu — Łysko przyłożył sobie palce do głowy — tu!

I ujawszy lekko mistrza swego wydziału pod ramię, poprowadził go w stronę montującego się rzeźzonego pancerza.

Najważniejsza sprawa w montowaniu pancerza — to na czas dostarczone blachy. Blachy dostarcza dla „Ferrum” huta „Batory”; co dzień telefonistki łączą kilkakrotnie ze sobą obydwie huty; co dzień niemal sekretarze organizacji partyjnej jeżdżą do „Batorego” na rozmowy. Rozmowy są długie, gorące i nie warto ich tu w całości

przytaczać, bo sens ich jest w istocie krótki: „Dawajcie w terminie blachy. To blachy dla Nowej Huty”.

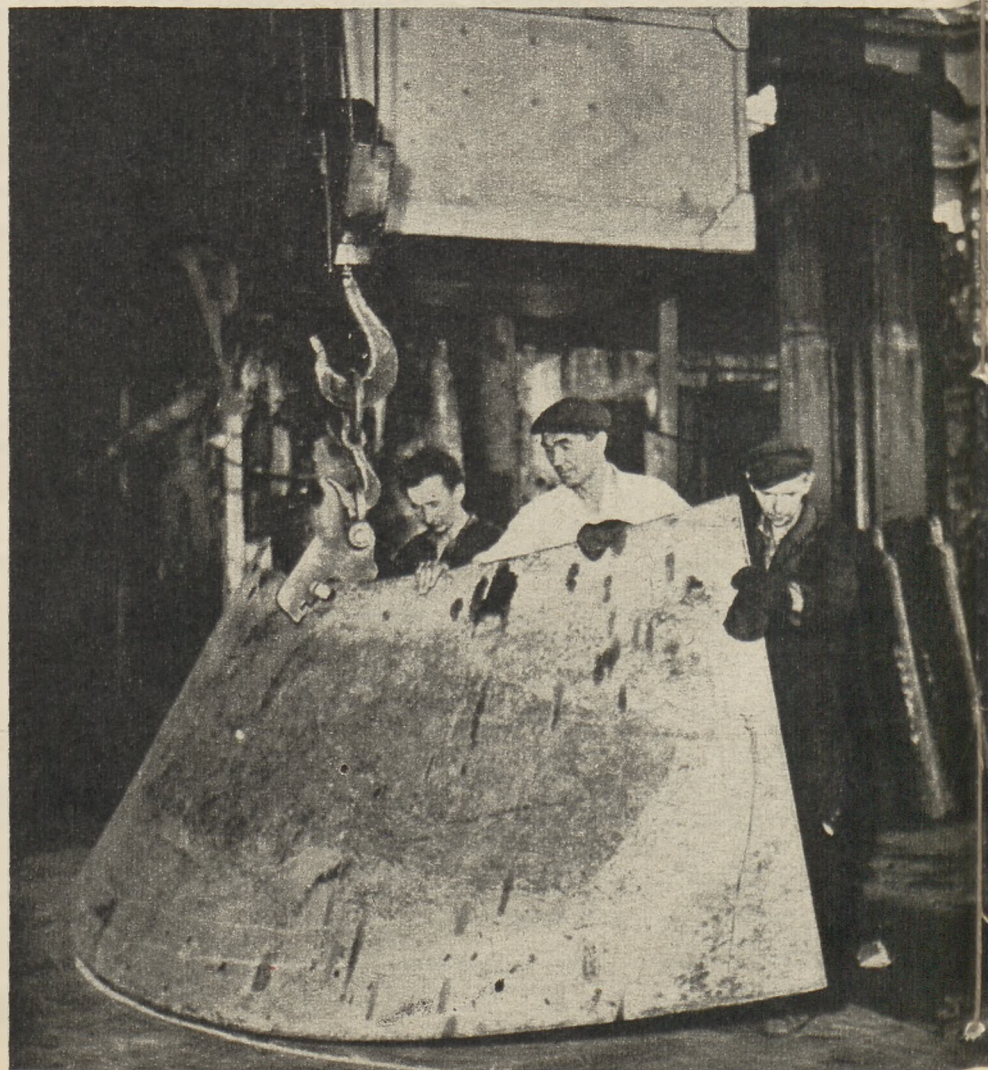
Blacha, blacha. Łączy się z tym pojęciem coś cienkiego, coś, co dzwoni i dudni: na dachu, w rynnie, na parapecie okiennym. Blacha dla pancerza ma wszakże kilka centymetrów grubości! Jest długa na pięć i pół metra i wysoka na dwa. Skoro

więc taka blacha przyjedzie w końcu do „Ferrum”, biorą ją w swoje ręce strugacze — aby była równa; heblarze — aby miała gładkie kanty; traserzy — aby nadać półkolisty kształt.

Wtedy dopiero ma zajęcie Ludwik Łysko i jego brygada.

Dwunastu ludzi pracuje w brygadzie Łyski. Jerzy Stefan przed trzema laty pra-

A oto stary sposób ustawiania płyt „według linii”; był on niepraktyczny i pracochłonny.



Pancerz wielkiego pieca montuje się na



„gwieździe”; ułatwia to równe zestawienie płyt.

cowal łopata w ekspedycji w hucie; ładował złom. Kiedy znalazł się w brygadzie Łyski umiał akurat tyle, że do spawania nie brał młotki, a do nitowania spawarki. Najmłodszy w brygadzie Franek Chlebek — to samo. Dziś pod nieobecność Łyski obaj kierują całą brygadą. Razem montowali pancernie dla pieców „Kościszki” i „Bobrka”, razem wykonali pierwszy piec dla Nowej Huty.

Półokrągłe, wytrasowane blachy ustawiali w ten sposób, że razem tworzyły koło — dolny obwód wielkiego pieca. W dwóch miejscach zetknięć łączyli blachy ze sobą prowizorycznie, zlutowując je kawałkiem żelaza. I to był pierwszy pierścień, pierwsza — jak powiadają — carga.

Na tę carga ustawia się następną, przyspawia się również kawałkami żelaza i tak coraz wyżej.

Za bramą huty Ludwik Łysko spotkał Franasza, który powiadomił go o masowce. Brygada już rozmawiała na temat uchwały.

— Jeżeli — dowodził chłopcom Chlebek — stawiać będziemy pierwszy pierścień na gwieździe...

— Tak, to słusznie — Łysko już sam myślał o wprowadzeniu tej innowacji. Ustawia gwiaździste kilka szyn, które będą stałą podstawą pod pierścienie; nie trzeba będzie za każdym razem sprawdzać prawidłowości poziomu.

Z Chlebkiem zgodzili się wszyscy; tylko — czy to znów tak bardzo przyspieszy montaż. Jakąś godzinę, dwie — w ogólnym obrachunku...

— Cóż — dobre i to.

Łysko poszedł do traserów; ci mieli już też swój pomysł.

— Będziemy na wszystkich blachach dla pieca robić napisy: Nowa Huta. Każdy, kto będzie miał tę blachę w ręce, spojrzy na napis i od razu będzie wiedział, że musi gnać.

Tego dnia montowali akurat drugą carga. W odróżnieniu od pierwszej, założonej poprzedniego dnia, ta upstrzona była czerwonymi literkami: „N.H.W.P.2”.

Następnego dnia gazety przyniosły już wiadomości z huty „Pokój” i „Zabrze” odpowiadając na uchwałę załogi obu hut skracając poważnie terminy różnych dostaw.

Łysko szybko przejrzał te informacje, wgniół gazetę do kieszonki zielonego kombinezonu. Nie przestawał myśleć o swojej brygadzie. Przecież to teraz na nich, na ich ręce właśnie patrzeć będzie cała huta. Zrozumiał: oni są ostatnim ogniwem w długim łańcuchu, przez który przechodzi pancernik, od nich to już gotowy piec odbierają nowohutczanie. Zafrasował się.

Koło południa przyszedł do nich młody technik Pietras. Łysko znał go z wieczorów w klubie racjonalizatora; Pietras miał wiele pomysłów, był w ogóle miłym i dobrym kumplem, ale nie teraz...

— ...nie teraz — pomrukiwał niechętnie Łysko, gdy go Pietras chciał wciągnąć w rozmowę.

A Pietras stwierdzał ze spokojem i flegmą:

— Na gwieździe stawiacie pancernik?

— Na gwieździe, na gwieździe — Łysko wykrzywił głowę i przyjrzał się dwóm pierścieniom, spiętym już przylutowaną kłamrą. — Znow krzywo, cholera — rozglądał się za młotkiem.

To właśnie było najgorsze, że przy pasowaniu blach już — już wydawały się równo ustawione, więc lutowali je kłamrą, gdy nagle wychodziła jakaś mała niedokładność, a wtedy kłamrę odbijają, lutują na nowo.

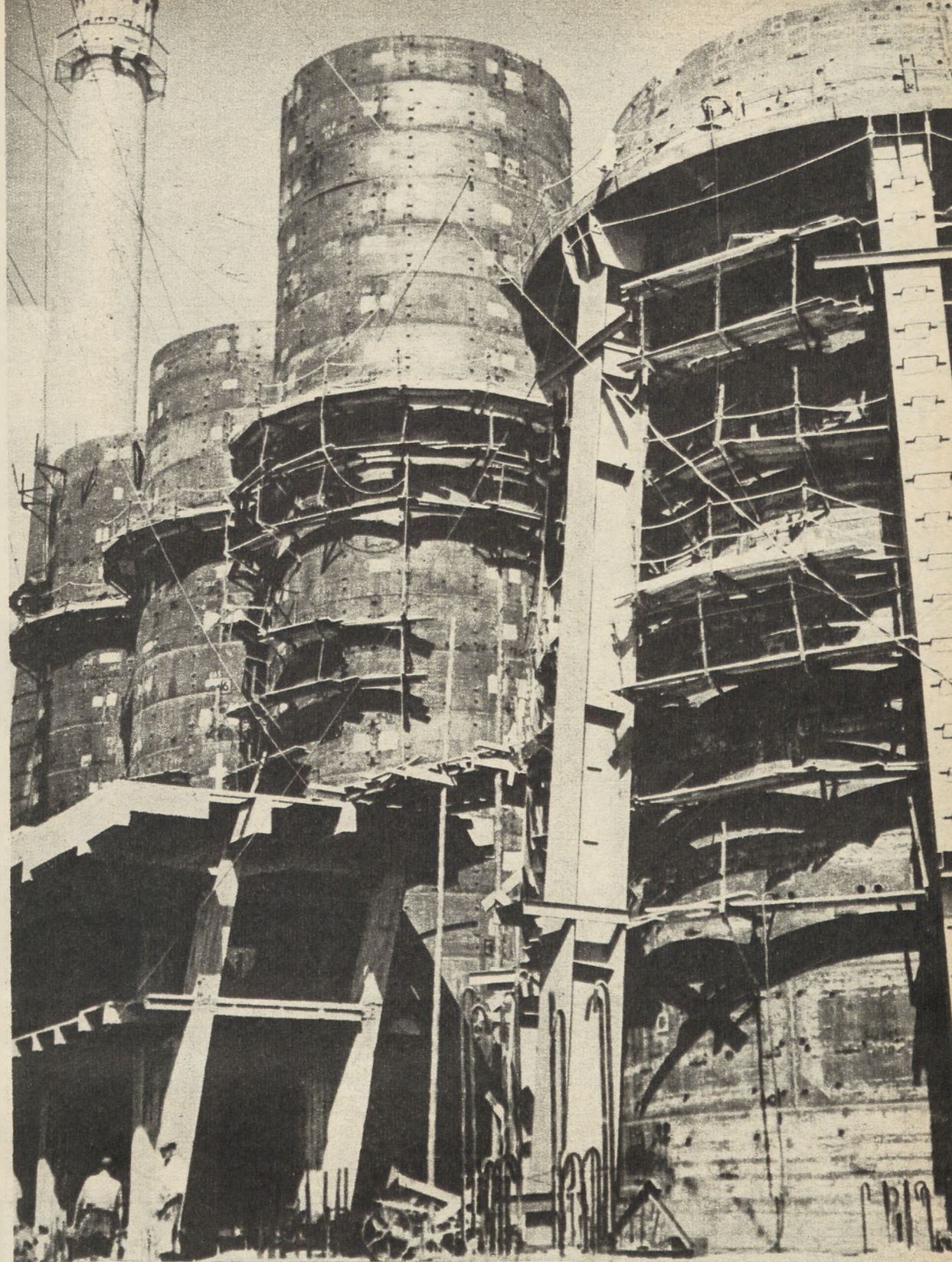
— Aj... aj... aj — sapnął z rozpaczą Łysko, w taki swych pojękiwań uderzając młotkiem. Wreszcie kłamra puściła, odskoczyła i spadła z brzękiem na ziemię.

Pietras wciąż stał z założonymi w tył rękami i nie gniewał się, że go Łysko bezceremonialnie odsuwa ręką.

— Właśnie o to chodziło — powiedział. — O co? Coś ty — wariat? — zdenerwował się na dobre Łysko.

— O te kłamry — Pietras wskazał na błyszczący srebrzyście ślad po oderwanej kłamrze — o te kłamry mi chodziło.

Potem już pozbywając się flegmy i spo-



Jeszcze jeden wielki piec w Nowej Hucie jest prawie gotów, wkrótce wytoczy się z niego lava surówki.

koju zaczął Łysce wyjaśniać. Ze myślał nad tym i myślał, że szukał w książkach, że — jednym słowem — zamiast takich kłamer, trzeba sporządzać inne. Po prostu przy dwóch brzegach sąsiadujących blach trzeba przyspawać uchwyty, takie uszka. Przez uchwyty przeciągnie się żelazny pręt i...

Tu podbiegł do pierścieni i kończył:

Tak zwana „blacha” to grube płyty pancerne, które trzeba przycinać w odpowiednie kliny.



— ...i zechcesz pierścienie ściągnąć — naprężysz pręt, zechcesz rozszerzyć — rozluźnisz. Zamiast do oblędu lutować i odbijać kłamry...

— W dodatku — argumentował Pietras; już go słuchała cała brygada, pozeskakiwawszy z wysokich rusztowań — w dodatku te uchwyty zostaną i przydadzą się od razu montażystom w Nowej Hucie.

Dopiero następnego dnia mieli możliwość w pełni ocenić pomysł technika Pietrasa. Przepracowali według jego rad, jeden pierścień zmontowali w 4 godziny. Jeszcze wczoraj zabierało im to 8 godzin.

— Czyli — Chlebek siedział okrakiem na pierścieniu, jak na koniu — czyli dwa razy szybciej, co...

I ten prosty rachunek przełożyli na język swego zobowiązania: nie do września, ale do 15 lipca oddadzą pancernik drugiego pieca Nowej Hucie.

Kiedy pisałem ten reportaż, podobnie jak wówczas Łyskę, zaskoczył mnie radiowy dziennik: „Huta „Ferrum” jako pierwsza w przemyśle hutniczym wykonała zadanie planu półrocznego na 16 dni przed terminem”.

Przyjemnie jest móc pod to jedno zdanie komunikatu podłożyć sobie cały obraz tego sukcesu: pomysł technika Pietrasa, zapal brygady Łyski, uchwałę o Nowej Hucie, która tak zmobilizowała załogę, iż mogli wystąpić z tym dumnym meldunkiem: „...Pierwsi w przemyśle hutniczym...”



...Słońce drugiego dnia wyprowadza nas na drogę hawiarzy królewskich, górników, którzy tędy zwozili ongiś rudę żelazną ze zboczy Siwarowego i Skoruśniaka.



Patrzmy w dół: oto cudna, włochata szarotka nad kępą rojnika i skalnicy...



Rojnik, typowy dla górskich partii wapiennych, kwitnie w lipcu i sierpniu



Skalnica, góralska „róża skalna”, wyparowująca wapno brzeżkiem liści.



Spotykamy kępy tojadu o ciemnoniebieskich kwiatach. Ładny, ale truje.

KWIATY TATRZAŃSKICH BEZDROŻY

Zdjęcia: W. WERNER

TATRZAŃSKIE bezdroża? Skądże to taki tytuł i to w latach upowszechniania turystyki?

Na pytania co prędzej odpowiadam pytaniami:

— A czy wiecie, co to jest tojad mocny i skalnica gronkowa? Znać grań Jaworzynki Miętusiej i Wielką Świstówkę?

Znać? No, to posłuchajcie...

Wysiadamy z autobusu we czterech na Nędzowym Groniku, ostatnim przystanku przed Doliną Kościeliską. Jest piękny dzień lipcowy. Dróżka przez niekoszoną łąkę wyprowadza nas na Drogę pod Reglami i oto już wchodzimy w mało znaną dolinkę reglową Staników Złeb. Od razu inny świat: las, cisza, strome podejście pod grań. Od grani pachnie Tatrami. Władek i Maks, zawołani myśliwi, dźwigają szybkostrzelną broń: nabitą Super-Ikontę i gotowego do akcji Rolleiflex'a. Wojtek i ja niesiemy „bizuterię”: haki, czekany, liny.

Oto już grań. Pod nami — Dolina Kościeliska. Nagle — trrach! — Władek wypalił błyskawicznie w ciągu jednej setnej sekundy. Patrzmy: cudna, włochata szarotka nad kępą rojnika i skalnicy. Prezentujemy ją Wam na zdjęciu. Piękny rojnik, typowy dla górskich partii wapiennych, kwitnie w lipcu i sierpniu. Popatrzcie na zdjęcie powyżej. To właśnie bujne cielsko rojnika. Po prawej stronie szarotki — skalnica, góralska „róża skalna”, karmiąca się wapnem i wyparowująca wapno brzeżkami liści. Upozowała się zresztą przed obiektywem, jak mogła najpiękniej. Prezentuje ją trzecie zdjęcie.

Idziemy teraz granią Jaworzynki Miętusiej. Raj kwiatów! Panują góralskie kocielapki (to właśnie szarotka!) obok mocno pachnących goździków. Maks i Władek coraz śmielej trzaskają migawkami. Ja i Wojtek — wiążemy ich na linach i asekurujemy na bloku. Opuszczają się na kruche ścianki, łażą jak muchy. Z grani i szczytu Jaworzynki Miętusiej schodzimy do schroniska

pod Przysłopem. Jeszcze tylko rzut oka ku wspaniałym szczytom Tatr Zachodnich. Wbijamy czekany, siadamy, zegnamy pierwszy dzień łowów.

Słońce drugiego dnia wyprowadza nas na drogę hawiarzy królewskich, górników, którzy tędy zwozili ongiś rudę żelazną ze zboczy Siwarowego i Skoruśniaka. Idziemy nad Dolinę Miętusią, ku Kobylarzowi. Piękny, do-rodny las, znowu moc kwiecia. Spotykamy kępy tojadu mocnego o ciemnoniebieskich kwiatach. Taki ładny, a taki łotr! Truje.

Kobylarz, zejście na Wielką Świstówkę. Tatrzański spokój. Dzika, piarzysta kotlina, w górze olbrzymie płyty śniegu. Wojtek i ja rąbamy stopnie w zlodowacialej skorupie, Maks z Władkiem posuwają się wolno. Przed nami olbrzymia ściana opadająca spod kotła Doliny Litworowej, zerwy Krzesanicy w Czerwonych Wierchach. Wchodzimy w ścianę. Uważna asekuracja, teren trudny i niewdzięczny. Kruch. Jesteśmy na trawersie. Pod nami pole śnieżne. Haki miękko włożą w wapienne masło; trzeba raczej skrupulatnie wybierać listwy skalne i szukać względnie pewnych chwytów. Wreszcie — stoki Dziurawego.

Szybko mijamy Dolinę Miętusią. Po drodze jeszcze scena pasterska: w zagrodzeniu-koszarze juhás gładzi senne o południu owce, przepuszczając je ku bacy, do dojenia. Razem z bystrym potokiem — wpadamy na Kirę Miętusią. Chcemy połączyć się z grupą, która dzisiaj lustruje Mroźną Grotę w Dolinie Kościeliskiej, przed otwarciem jej dla rzesz turystów.

Wchodzimy w piękną partię okolicy Mroźnej Groty i Zbójnickich Okien. Wspaniały, podziemny świat Tatr! Przechodzimy przez zimne, fantastycznie urzeźbione korytarze, podziwiamy progi lodowe, by znów — za chwilę — znaleźć się na powietrzu, wysoko, przy Zbójnickich Oknach...

ANDRZEJ KLIKUSZOWSKI



FOTO

KORRESPONDENCI DONOSZA

ZWIEDZAMY PODZIEMIA TATR



W komorze zwanej „Pochył”.

W tym roku uprzystępniono turystom i wczasowiczom zwiedzanie Jaskini Mroźnej, najciekawszej ze wszystkich jaskiń Doliny Kościeliskiej. Trudno oddać wrażenie, jakiego doznajemy wkraczając z rozświetlonej słońcem przestrzeni do wiecznych ciemności w podziemiach. W pierwszej chwili czujemy się nieswojo przytłoczeni ciężarem potężnych ścian skalnych, otaczających nas zewsząd. Dopiero po chwili spostrzegamy, że otacza nas inny świat zaklętych w kamieniu bajecznych form i barw. Przechodząc korytarzami o sklepieniach wzniesionych miejscami tak wysoko, że gina zupełnie w mroku. Mijamy rozległe, różnych kształtów komory połączone ze sobą niekiedy przejściami tak niskimi, że nie da się już iść w pozycji wyprostowanej. Wspinamy się po kamiennych stopniach na potężne stożki rumowisk lub po drewnia-

nym schodkach przekraczamy skalne zapory. A obraz ścian zmienia się jak w kalejdoskopie. To zadziwiająco ostre, poszarpane zręby wystających warstw skalnych, to znowu wylizany przez wodę, lśniący jak marmur wapien.

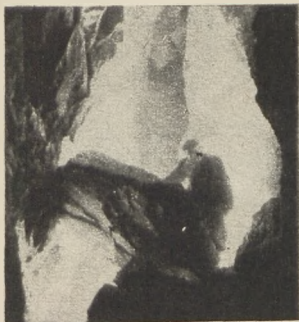
Największą jednak ozdobę jaskini stanowią różnorodne formy nacieków wapiennych. Na tle nieskazitelnej bieli zabłysną czasem bogata skala kolorów, od złotego do brązowego, ciemniejsze smugi nacieków zabarwionych związkami mineralnymi. Na wystęпах ścian i sklepieniach zwisają małe, piękne stalaktyty, z dna jaskini sterczą wyniosłe stalagmity tworzące gdzieś gęste skupienia.

Jaskinię Mroźną, przebijającą na wylot cały maszyn Organów, opuszcza turysta ośniony jej wyjątkowym pięknem.

Otwarcie jaskini dla ruchu turystycznego nastąpiło w dniu 12 lipca 1953 r. Zwiedzanie jej odbywa się grupowo pod kierunkiem wykwalifikowanych przewodników, którzy dysponują latarniami karbidowymi, zapewniającymi odpowiednie oświetlenie. W przyszłości projektuje się założenie w jaskini elektrycznych reflektorów, które jeszcze lepiej uwidatnią najpiękniejsze jej fragmenty.

Zwiedzając tę jaskinię, uszanujmy to wielkie dzieło przyrody, chrońmy przed zniszczeniem, tak, aby zachować je w pierwotnym i niezmiennym stanie.

Stefan Zwoliński, Zakopane



Przejście przy zwalonym glazie.

20 TYS. KM. NA STARYM „GRACIE”

Kiedy Eugeniusza Stacewa, st. strzelca jednej ze szkół oficerskich zapytano, gdzie chciałby pracować po odbyciu służby wojskowej — odpowiedział bez namysłu: „W PGR”.

I rzeczywiście, pewnego dnia po wyjściu z wojska, Stacewa zgłosił się do PGR w Lubiechowie na Dolnym Śląsku. Przyjęto go i zatrudniono w charakterze kierow-

„Po gospodarsku” zabrał się do pracy. Obejrzał dokładnie wóz, który miał prowadzić i rozejrzał się co by u jeszcze można było zrobić. I znalazł.

W starym garażu stał zniszczony, nie nadający się do użytku „Opel-super”.

— Trzeba ten wóz doprowadzić do porządku — powiedział sobie Stacewa, który zawód kierowcy, zamiłowanie do porządku i oszczędności wyniósł z wojska. — Przyda się.

Ponad 2 tygodnie przesiedział przy samochodzie; studiował, dukał, majstrował. Już po pierwszej próbie przejazdu postanowił przebyć na tym „gracie” 20 tys. km. bez kapitalnego remontu.

Właśnie niedawno licznik potwierdził, że Stacewa umie dotrzymać słowa. A stary „grat” — dzięki starannej obsłudze i pielęgnacji — jest nadal w dobrym stanie. Zawzięty kierowca obiecuje przejechać na nim jeszcze 30 tys. km. bez kapitalnego remontu.

Eugeniusz Stacewa zadowolony jest ze swej pracy. Oto jego oświadczenie: „Zarabiam około 1200 zł miesięcznie, do stałem pożyczkę na kupno krowy, mam ładne mieszkanie, a dla dzieci — przed-

Z. Fin, Lubiechowa



Nikt by się nie domyślił, patrząc na ten wóz, że to stary „grat”, który bezużytecznie stał w garażu.

Kto raz odwiedził Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku w Stalino-gradzie, ten z pewnością będzie doń często zaglądał.

Położony na przedmieściu, z dogodnym dojazdem, ten wielki rezerwat zieleni i powietrza o powierzchni 600 ha stanowi prawdziwe płuca Śląska.

Dowodem, jak bardzo istotną i palącą sprawą było utworzenie tego parku jest fakt coraz liczniejszego odwiedzania go przez mieszkańców Stalino-gradu, Chorzowa i ludzi z dalszych nawet okolic.

Clągnie tu bowiem człowieka i ciekawość (by zobaczyć, co też nowego przybyło w parku od jego ostatnich odwiedzin), i chęć wypoczynku wśród świeżej zieleni i stawów, wreszcie — liczne rozrywki, jakie tu każdy — młody czy stary — znajdzie dla siebie.

Roi się więc tu od ludzi — dorosłych, młodzieży i dzieci, tłumnie przybywających do parku po zdrowy wypoczynek i kulturalną rozrywkę.

Kilka pięknych boisk umożliwia rozwijanie umiejętności sportowych i wydławanie energii. Młodzież z zapałem

oddaje się tańcom na przeznaczonych do tego miejscach. Miłośnicy muzyki z przyjemnością posłuchają muzyki koncertu.

Ale największą chyba atrakcją parku jest duży zwierzyńiec, stale powiększający swój stan posiadania.

Piękne widoki i wspaniała zielen, obiekty architektoniczne, rzeźby i zwierzęta — wszystko to czyni park bardzo pięknym.

Budowa parku, rozpoczęta przed niespełna 3 laty, nie jest jeszcze skończona. Park będzie jeszcze piękniejszy. Szeroka, wygodna droga połączy go wkrótce ze Starym



Lama ślicznie pozowała do zdjęcia z profilu.

Chorzowem, przybędzie jeszcze wiele drzew i ponad 2 km alejek z ławkami, zbudowane zostaną 3 wysepki na stawie.

Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku w Stalino-gradzie jest jeszcze jednym świadectwem zmian, jakie zaszły w naszym kraju, dowodem nowego stosunku władz do człowieka pracy i jego potrzeb.

Tekst i zdjęcia: Z. Jarkiewicz, Warszawa, J. Zubik, Stalino-grad, T. Rzepkiewicz, Stalino-grad.



Jedna z licznych rzeźb, zdobiących park.

WYJEŹDZAJĄ NA PRAKTYKĘ DO ZSRR

Przy budowie Nowej Huty korzystamy z szerokiej pomocy Związku Radzieckiego. Poza dokumentacją techniczną otrzymujemy nowoczesne urządzenia i maszyny, a nawet całkowite wyposażenie wielkich pieców, stalowni, walcowni-zgniatacz, czy siłowni — jednym słowem — kluczowych obiektów kombinatu.

Ale to nie wszystko. Zwią-

zek Radziecki szkoli również naszych pracowników.

W tym roku, równie jak w ubiegłym, grupa pracowników Nowej Huty: inżynierów, techników i wykwalifikowanych robotników wyjechała do huty Zaporozstal, by odbyć tam praktykę, poznać najnowocześniejsze urządzenia i najlepsze metody pracy.

Sergiusz Paszkowski, Kraków



Wyjeżdżający na praktykę do ZSRR pracownicy Nowej Huty uczą się języka rosyjskiego.

IDĘ DO ROLNEJ BRYGADY „SP”

Ta młoda dziewczyna, która uśmiecha się do Was z fotografii, nazywa się Halina Zmudzka i pochodzi ze wsi Rąbień w powiecie łódzkim. Rodzice jej posiadają niewielkie gospodarstwo rolne.

Dotychczas Halinka pomagała im w pracy. Ale młodej, pełnej radości życia i zapału dziewczynie praca ta nie wystarczała. Chciała się czegoś nauczyć, chciała robić

coś więcej i być bardziej pożyteczną, niż dotychczas.

Koleżanki, które pojechały na pierwszy turnus brygad rolnych SP opowiedziały mi o innym, ciekawszym życiu — mówi Halinka. — O tym, jak rozbudowuje się nasza ojczyzna, o tym, jak piękne i ciekawe jest życie i praca w brygadzie „SP”.

O tym samym również, o zadowoleniu z pracy czytała Halinka w listach swego brata Mieczysława, przodownika pracy w brygadzie SP w Nowym Bytomiu.

Tak oto zrodziła się decyzja Halinki: „Pójdę ochotniczo do brygady rolnej SP. Będę tam wykonywała ważną i pożyteczną pracę i będę mogła rozwijać swe zdolności i samodoskonalenie. A potem pójdę jeszcze na kurs zawodowy, by jak najlepiej pracować dla naszej Ludowej Ojczyzny”.

T. Czabański, W-wa
Fot.: F. Tracz



Przed egzaminem dobrze jest zająć do książek na świeżym powietrzu.

„STRZELCZYKOWCY” W BUKARESZCIE

Zespół Pieśni i Tańca Zakładów Mechanicznych im. J. Strzelczyka w Łodzi zdobył zasłużony rozgłos. Prowadzony przez baletmistrza, prof. Dowgirda, poza wieloma ludowymi tańcami polskimi i radzieckimi, posiada w swym dorobku również pełnospektaklowy balet pt. „Spółdzielnia produkcyjna” oraz piękne widowisko taneczno-wokalne o charakterze regionalnym.

Po zwycięskich centralnych eliminacjach w Warszawie, młodzieżowy ten zespół wziął

udział w Światowym Festiwalu Młodzieży w Bukareszcie. Wraz z innymi zespołami pokazał on światu piękno polskiej muzyki ludowej, regionalnej pieśni i tańce naszej ojczyzny.

Piękno prawdziwego stroju ludowego, ludowych tańców i piosenek, odgrzebywanych nie raz po wsiach przez członków zespołu — bez niepotrzebnej stylizacji — oto cechy „Strzelczykowców” i większości naszych obecnych zespołów amatorskich.

Leon Panla, Łódź



Młodzieżowy Zespół Baletowy im. J. Strzelczyka.

FOTOGRAFIA NA CODZIEN ZDJĘCIA SPORTOWE

Sport stanowi rozległe i wdzięczne pole do popisu dla amatorów. Do robienia amatorskich zdjęć z tej dziedziny nie jest konieczny specjalny sprzęt, wystarczy — w większości wypadków — obiektyw o średniej jasności i migawka o szybkości ok. 1/200 sek.

Regulowanie szybkości migawki zależy od trzech czynników: szybkości ruchu, kierunku ruchu i odległości aparatu.

Na szybkość poruszającego się obiektu fotograf nie ma wpływu, może jednak ustawić się w odpowiedniej odległości i pod pewnym kątem do kierunku ruchu. Im bliżej jest poruszającego się przedmiotu, tym szybszą musi zastosować migawkę. Jeśli np. fotografujemy jadący samochód z odległości 20 m. na 1/100 sek., to z odległości 10 m ten sam samochód fotografować musimy migawką o szybkości 1/200 sek.

Szybkość migawki musimy regulować również w zależności od kierunku ruchu. Im bardziej kierunek ten jest prostopadły do osi obiektywu, tym szybszą stosujemy migawkę, jeśli chcemy otrzymać zdjęcie ostre. Gdy robimy zdjęcia ze stanowiska położonego pod kątem 45 stopni do kierunku ruchu, możemy naświetlać 2 razy dłużej, gdy zaś ruch odbywa się po linii osi optycznej obiektywu — stosujemy migawkę 4 razy powolniejszą niż przy ustawieniu obiektywu prostopadle do kierunku ruchu.

Zdjęcia z bliska, lub zdjęcia z daleka przy zastosowaniu specjalnych obiektywów o długich ogniskowych, wymagają bardzo szybkiej migawki i jasnych obiektywów. Użycie ich bez przysłaniania daje bardzo niewielką głębię ostrości. Zdjęcia takie są więc trudne do wykonania i możliwe tylko dla fotoreporterów zawodowych, wyposażonych w odpowiedni sprzęt.

Ponieważ fotoamatorzy nie są dopuszczani na boiska sportowe, czy tory wyścigowe i zdjęcia muszą wykonywać z większej odległości, mogą stosować migawki nie tak szybkie, jak przy zdjęciach z bliska.

Jeżeli jednak istnieje możliwość podejścia na stosunkowo nieznaczny dystans, trzeba pamiętać o ustawieniu się pod kątem ok. 45 stopni do kierunku ruchu. W niektórych wypadkach, przy chwytaniu obiektywem pewnego momentu kulminacyjnego ruchu, np. gdy ciało skoczka zawisło nad poprzeczką, lub gdy ramię rzucającego dysk, czy kulę znieruchomiało w chwili wyrzutu, można użyć stosunkowo nieznacznej szybkości migawki.

WSIEWOŁOD PUDOWKIN

(1893 — 1953)

W

SIEWOŁOD PUDOWKIN, jeden z twórców filmu radzieckiego i jeden z największych ludzi filmu, urodził się w Penzie w r. 1893. Ojciec jego, z pochodzenia chłop, pracował jako komiwojażer. Mając 4 lata przyjechał Pudowkin wraz z ojcem do Moskwy. Tu ukończył gimnazjum, a w r. 1914 przystąpił do egzaminów dyplomowych na wydziale chemii na Uniwersytecie. W tym samym roku wybuchła I wojna światowa — Pudowkin idzie na front jako artylerzysta, zostaje ranny i dostaje się do niewoli. W r. 1918 grupie jeńców wojennych udaje się uciec z obozu. Wśród nich jest również i Pudowkin. Po powrocie do Rosji Radzieckiej, Pudowkin pracuje jako chemik w Moskwie.

W r. 1920 w życiu Pudowkina dokonuje się nagły zwrot; jako 28-letni mężczyzna decyduje się on zmienić zawód, rzuca chemię i wstępuje do Pierwszej Państwowej Szkoły Filmowej. Początkowo współpracuje z reż. Gardinem, jako pomocnik reżysera, występując równocześnie jako aktor w jego filmach „Sierp i młot”, „Głód... głód... głód...” oraz „Ślusarz i kanclerz”. Następnie zbliża się do Lwa Kuleszowa, podówczas czołowego zwolennika szkoły formalistycznej, współpracując z nim przy filmach „Niezwyczajne przygody Mister Westa w kraju bolszewików” i „Promień śmierci”. W tym okresie Pudowkin ulega mocno teoriiom głoszonym przez Kuleszowa. W r. 1925 realizuje samodzielnie dwa filmy: „Szachowa gorączka”, o międzynarodowym turnieju szachowym w Moskwie, oraz „Mechanika mózgu” — pierwszy film popularno-naukowy, poświęcony nauce Pawłowa.

W r. 1926 wchodzi na ekrany pierwszy wielki film Pudowkina — „Matka” wg. powieści M. Gorkiego. Film ten, obok „Pancernika Potiomkina” S. Eisensteina, daje początek rewolucyjnej kinematografii radzieckiej. Pudowkin jako pierwszy nawiązuje w nim do metody pracy z aktorem stworzonej przez K. Stanisławskiego, wyzwalaając się tym samym spod wpływu formalizmu Kuleszowa.

W rok później (1927) tworzy drugi wielki film niemy — „Koniec Sankt-Peterburga”, poświęcony Rewolucji Październikowej. Trzecim filmem tego okresu jest „Burza nad Azją” (1928), którego akcja rozgrywa się w Mongolii i opowiada o walce narodu mongolskiego z angielskimi kolonizatorami.

Narodziny filmu dźwiękowego i brak w owym okre-



sie jasnych i sprecyzowanych kryteriów estetycznych sprawia, że trzy następne filmy Pudowkina — „Prosta sprawa” (1929—32), „Dezerter” (1933 — pierwszy film dźwiękowy Pudowkina) oraz „Zwycięstwo” (1938) należą do niepowodzeń twórczych reżysera, który uległ odżywiającej ponownie tendencjom formalistycznym. Ważnym natomiast wydarzeniem tego okresu jest wydanie przez Pudowkina w r. 1934 książki pt. „Aktor w filmie”, która jest świadectwem wewnętrznej walki reżysera, w wielu decydujących momentach doprowadzającej go na pozycję realizmu. Wzrostowi twórcemu Pudowkina dopomógł wielkiej doniosłości fakt w jego życiu — wstąpienie do partii.

Walka z formalizmem o wysoką wartość ideową sztuki pozwala twórcom wejść znów na drogę sukcesów artystycznych. Do nich należą bez wątpienia dwa filmy historyczne — „Minin i Pożarski” (1939) oraz „Suworow” (1941). Ten ostatni ukazuje się w przeddzień hitlerowskiej agresji na ZSRR, przypominając narodowi o wspaniałych zwycięstwach oręża rosyjskiego.

Podczas wojny Pudowkin realizuje dwa krótkie filmy „Pożar w Żirmuncie” i „Mordercy wychodzą na drogę” oraz długometrażowy film fabularny „W imię Ojczyzny” (1943). Filmy te przeniknięte są radzieckim patriotyzmem i nienawiścią do faszyzmu.

Po zwycięstwie Pudowkin raz jeszcze zwraca się do tematyki historyczno-biograficznej. Powstaje w r. 1947 „Admirał Nachimow”, film, którego pierwsza wersja poddana została surowej krytyce partii w znanej Uchwale KC WKP(b) o filmie „Wielkie życie”, i który przepracowany przez reżysera w myśl wskazań partii — otrzymał Nagrodę Stalinowską I stopnia.

W 1950 r. wchodzi na ekrany film o Żukowskim, poświęcony jednemu z badaczy i odkrywców w dziedzinie aeronautyki i lotnictwa.

Ostatnim dziełem Pudowkina jest film „Powrót Wasyla Bortnikowa”, wypuszczony na ekrany w sześćdziesiątym roku życia reżysera, będącym zarazem rokiem jego śmierci.

Śmierć Pudowkina zabrała z szeregów kinematografii radzieckiej jednego z jej twórców, jednego z twórców i największych ludzi filmu światowego.

O S T A T N I E D Z I E Ł O



Ostatnie dzieło Wsiewołoda Pudowkina — „Powrót Wasyla Bortnikowa”.

ZANIM Pudowkin stanął do pracy w filmie, był on do kinematografii nastawiony raczej niechętnie. Taki sam był zresztą stosunek do kina wielu spośród ówczesnych wybitnych ludzi kultury, m. in. Gorkiego i Majakowskiego. Gdy zapytano reżysera, dlaczego obecnie zająć się chce filmem, odpowiedział jednym słowem: „Zrozumiałem”.

Ten zwrot jest niezwykle charakterystyczny dla całej jego drogi twórczej, którą przeszedł w bezustannej walce i poszukiwaniu, próbując znaleźć nowe, odziewając się od własnych i cudzych błędów, stale pragnąc zrozumieć to, co najważniejsze, aby temu najważniejszemu oddać swoje umiejętności. Dlatego też Pudowkin zawsze stał w szeregach nowatorów otwierających przed sztuką filmową nowe perspektywy.

Z tego punktu widzenia ostatni jego film, „Powrót Wasyla Bortnikowa”, nabiera szczególnego znaczenia. Zastanówmy się najpierw nad sytuacją, w której powstał ten film.

Od kilku już lat kinematografia radziecka przeżywa okres usilnego poszukiwania nowych form artystycznych,

koniecznych na obecnym etapie rozwoju społeczeństwa radzieckiego. Wielka klasyka filmowa lat trzydziestych, wyrosła na gruncie wytężonej walki o socjalizm, w sposób doskonały i pełny wyraziła treści polityczno-społeczne okresu. Filmy okresu wojennego i bezpośrednio po wojnie w pełnej krasie ukazywały znów bohaterstwo ludu radzieckiego, walczącego w obronie ojczyzny.

W latach powojennych Związek Radziecki wkroczył w nowy etap swego rozwoju. Wzrosło międzynarodowe znaczenie i autorytet kraju, a w sprawach wewnętrznych zasadniczym kierunkiem stał się problem budownictwa komunizmu. Sens tego etapu nie znalazł jeszcze pełnego odbicia w sztuce filmowej, szukającej nieustannie odpowiedniej formy dla świeżo narastających treści. I oto w tym właśnie okresie powstaje nowy film Pudowkina.

Historia jego przypomina pod wieloma względami „Matkę”, film sprzed 27 lat. I tu i tam na początku było dzieło literackie — ongiś znana powieść Gorkiego, dziś odznaczona Nagrodą Stalinowską I stopnia powieść Nikołajewej „Zniwa”. Tak jak tamta wyrażała w sposób wspaniały pręgę dojrzewania

proletariatu - rewolucjonisty, tak ta pokazuje dzisiejsze powszednie życie budowniczych komunizmu. W jednym jak i w drugim wypadku Pudowkin zwraca się do literatury, aby podjąć doniosłą na danym etapie sprawę. Jak wygląda dziś owa sprawa? Wojna skończyła się, powojenne budownictwo do niebywanych wyżyn podniosło poziom życiowy ludzi radzieckich. Wraz ze wzrostem dobrobytu i postępem technicznym wzrasta ilość czasu wolnego od pracy; problemy, które dotychczas, w natłoku innych, bardziej palących, spychane były na plan dalszy, dziś domagają się rozwiązania. Do takich należy między innymi problem obyczajowości codziennego życia, moralności.

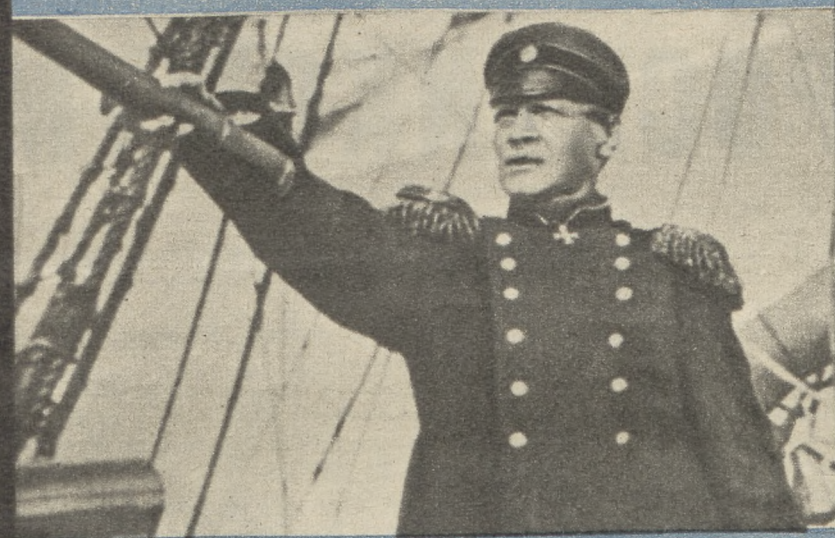
Okres budownictwa komunizmu jest okresem zaniku ostrych konfliktów antagonistycznych. Czy oznacza to, że zanikają konflikty w ogóle, lub stają się nieostre, landrynkowate, podobne do tych, które pojawiają się jeszcze w schematycznej literaturze i filmie? Odpowiedzieć na to pytanie mógł bez wątpienia Pudowkin, w którego całej twórczości myślą przewodnią było poszuki-



„MATKA“



„BURZA NAD AZJĄ“



„ADMIRAL NACHIMOW“

M I S T R Z A

wanie pełnego, żywego człowieka! Od czasów „Matki“ aż do ostatniego swego filmu twórca poszukiwał zawsze spraw ogólnych w szczegółowych, charakterystyki wielkich przemian w indywidualnych losach, i zawsze szukał w człowieku bogactwa rysów wewnętrznych, przeżyć, konfliktów.

Nowy film Pudowkina rozpoczyna się sceną, kiedy powracający z wojny mąż znajduje w swoim domu żonę z innym mężczyzną. Jaskrawo zarysowany problem życia rodzinnego, sprawa moralna — po raz pierwszy od wielu lat staje w centrum filmu. Rzucona na szerokie tło życia kołchozu, który z zafanego wydzwignąć się pragnie na miejsce przodujące, staje się problemem nowej moralności komunistycznej, której kategorii są kategoriami społecznymi, w której ważną rolę odgrywa zespół.

W „Burzy nad Azją“ Pudowkina jest obraz, kiedy na cały ekran pokazuje się krwawiąca, rozczapierzona ręka. Gwałtowna brutalność tego obrazu dynamizuje widownię, nie mając w sobie jednak nic z naturalistycznego dresz-

czyku. Podobnie jest i z „Powrotem Wasyla Bortnikowa“. Wątek pary małżeńskiej, ludzi, którym brak wspólnego języka, stoi nieomal na pograniczu melodramatu. Pudowkin nie boi się krótkich spiek, nie uchyla się od surowego wartościowania ludzi zarówno w ich życiu osobistym, jak i w pracy. I na tym zapewne polega ważna, emocjonująca strona filmu.

Jeszcze raz powtarza się pudowkinowskie „zrozumiałem“. Wielki twórca rozumiał, że życie budujących socjalizm ludzi nie kończy się na walce o obfitszy plon i zwiększoną produkcję. Umiał połączyć tę walkę ze sprawami codziennymi, a przecież ważnymi, znalazł ten niedoceniany dotychczas, a przecież ważny moralny konflikt nieantagonistyczny, i ostatnim swoim dziełem wskazał drogę sztuce, której służył całym swoim życiem — życiem twórcy, nowatora, moralisty, jednego z czołowych działaczy sztuki wychowującej naród.

K. T. TOEPLITZ

WSIEWOŁOD PUDOWKIN MÓWI:

O SZTUCE FILMOWEJ:

Między wydarzeniem w życiu a jego wyobrażeniem na ekranie istnieje widoczna różnica. Ta właśnie różnica czyni film sztuką.

(1929)

Jestem przekonany, że film dźwiękowy jest potencjalnie sztuką przyszłości... Jest on syntezą wszystkich istotnych elementów: słownego, wizualnego, filozoficznego.

(1933)

Sztuka filmowa dysponuje wyjątkowo bogatym arsenalem środków wyrazowych. I żywe ludzkie słowo, i muzyka, i pejzaż, i architektura, i malarska kompozycja światła i cieni, ruch oddzielnych postaci i ruch ludzkich mas — wszystko może być przekształcone na ekranie w potężny środek wyrażenia myśli artysty, trzeba tylko chcieć i umieć środkami tymi się posługiwać.

(1938)

Film, rodząc się bezpośrednio ze sztuki teatralnej, jednocześnie odchodzi w swoim rozwoju od formy dramatu i przybliża się w swej istocie do powieści.

(1952)

O MISTRZACH:

Dwaj ludzie, którzy tworzyli w różnych dziedzinach sztuki, zawsze pozostają dla mnie połączeni w jednym obrazie: są to Lew Tołstoj i Stanisławski.

Tołstoj był dla mnie ogromną szkołą, która dała mi umiejętność patrzenia na ludzi oczyma artysty i pomogła zrozumieć, do jakiej głębi i zbieżności z realnym życiem może artysta doprowadzić stworzoną przez niego postać.

Kiedy sam poszedłem drogą realizmu, kiedy starałem się nadać postaciom, które rodziły się w mojej wyobraźni, siłę przekonywania, odrębność i samodzielność istnienia — to nagle okazało się, że wielki realista pracujący w dziedzinie sztuki teatralnej — K. S. Stanisławski — dał mi w tym celu do ręki swoją metodę.

(1932)

O SCENARIUSZU:

Zapamiętaj jako regułę: formułuj zawsze temat w sposób jasny i ścisły, inaczej bowiem twoja praca pozbawiona będzie wagi i jednoci, które są warunkiem niezbędnym dla każdego dzieła sztuki.

(1923)

Opracowując jakieś wydarzenie musi scenarzysta starannie sprawę przemysleć i wybrać odpowiednie wizualne jego wyobrażenie; scenarzysta musi pamiętać, że dla każdej koncepcji i dla każdej idei istnieją dziesiątki i setki możliwości plastycznego ich wyobrażenia, i dlatego zadaniem jego jest wybór najbardziej wyrazistego i najżywiej przemawiającego.

(1933)

O MONTAŻU:

Montaż jest nową, przez sztukę filmową wynalezioną metodą pokazywania i jasnego wyrażania powiązań i stosunków, które istnieją w rzeczywistości, i to w najszerszym zakresie i we wszystkich dziedzinach.

(1933)

Trzeba pamiętać, że montaż jest w rzeczywistości przymusem i określonym kierowaniem myśli i skojarzeń widza.

(1933)

Montażu nie można oddzielać od myślenia — analizującego, krytycznego, syntetycznego i uogólniającego myślenia.

(1933)

O KAMERZE FILMOWEJ:

Kamera wdziera się do najbardziej niedostępnych głębin życia, stara się przeniknąć tam, gdzie przeciętny obserwator, kiedy spogląda wokół siebie, niczego nie dostrzeże. Kamera sięga głębiej i dalej — zbliża się do wszystkiego, co może zobaczyć, by utrwalić to na celuloidowej taśmie.

(1929)

O AKTORZE:

Moim najgłębszym przekonaniem jest, że nie wystarczy pokazać na ekranie masę ludzką, jeżeli nie ma w niej człowieka, bohatera, którego widz kocha lub nienawidzi.

(1928)

Idea filmu powinna być siłą napędową każdej sceny, powinna żyć w każdym szczególe. Można to osiągnąć tylko wtedy, kiedy każda rola i cały film są odczuwane przez reżysera i aktorów jako jednolity ciągły ruch, w którym nie ma luk między uczuciem i gestem każdego aktora, ani między gestem i mową, ani między tekstem i zawartą w nim myślą przekształcającą się w działanie fizyczne, ani między działaniem fizycznym i jego właściwym celem, jego fizycznym obiektem, ani wreszcie między celem szczególnym i ogólnym celem głównym, ku któremu bez reszty skierowane jest całe działanie.

(1951)

O REALIZMIE W SZTUCE FILMOWEJ:

Co to jest realizm socjalistyczny? Jest to metoda twórcza, która wiąże artystę jak najściślej z żywą rzeczywistością i czyni z niego bezpośredniego współuczestnika pracy całego narodu, aktywnego i wartościowego współtwórcę społeczeństwa komunistycznego. Używamy dlatego nazwy realizm, ponieważ sztuka nasza daje obraz życia w całej jego złożoności i w całej jego pełni. Mówimy: socjalistyczny, ponieważ twórcze pojmowanie i przedstawianie życia podporządkowane jest wielkiemu ideałom rozwoju społeczeństwa socjalistycznego.

(1949)

Wielkie sukcesy w sztuce filmowej osiągnąć można tylko wtedy, jeśli wszystkie wysiłki artysty iść będą w kierunku odbicia prawdy życia. Wierność prawdzie życia — to nie tylko warunek artystycznego sukcesu filmu, ale również i gwarancja, że film służyć będzie dziełu utwierdzenia przyjaźni i porozumienia między narodami. W prawdziwy sposób odbijać życie narodu na ekranie — to znaczy wyciągać rękę do pragnących przyjaźni i wzajemnego porozumienia.

(1951)

O POSTAWIE TWÓRCY:

W sztuce nie ma zadań łatwych, powiem więcej — są tylko zadania niemożliwe. Twórca powinien zajmować się tylko tym, co w pierwszej chwili wydaje mu się niemożliwe do realizacji. Jeśli pokona trudności, rezultat będzie nie tylko dobry, ale doskonały.

(1948)

Twórca powinien wzbudzić w sobie uczucie głębokiego patriotyzmu, miłość do swego narodu, do jego przeszłości i przyszłości, szczerą pragnienie poświęcenia wszystkich sił służbie społeczeństwu.

(1949)

Trzeba zbliżać się coraz więcej do ludu. Kochać lud. I pamiętać o tym, że intelektualisci mogą uczyć czegoś tylko wtedy, jeśli sami uczą się u ludu.

(1950)

O ROLI SZTUKI FILMOWEJ:

Postępowi pracownicy filmu: scenarzyści, reżyserzy, aktorzy — nie zapominajcie o tym, że macie w swych rękach ogromne możliwości, że możecie ludziami mówić prawdę, potrzebną im i niezbędna, prawdę, z pomocą której walczyć będą mogli z kłamstwem, oszczerstwami i moralnym brudem odradzającego się znowu faszystwu. Nie zajmujcie się przypadkowymi i ubocznymi sprawami. Jest ich wiele, ale nie pomagają przeciw one do rozstrzygnięcia spraw zasadniczych. Nie pomagacie nieprzyjacielowi, tworząc sztukę dla sztuki. Bądźcie dzielnymi bojownikami, wykorzystując każdą okazję, aby otworzyć ludziom oczy, aby pokazać im, co się rzeczywiście dzieje. Ludzkość będzie wam za to wdzięczna.

(1950)

Wybrał i zestawiał JERZY TOEPLITZ

KREACJE AKTORSKIE PUDOWKINA



Officer Zandamerli („Matka“)



Szaleniec („Iwan Groźny“, cz. I)



General faszystowski („W imię ojczyzny“)



Przyjemnie w upalny dzień siąść pod drzewem, w cieniu, i zagrać w domino w kompanii dobrych kolegów.



Przed kolacją wybrała się na spacer młoda para, widoczna na zdjęciu z prawej strony. Ale — jak widzimy — najbardziej romantyczne zakątki są od dawna zajęte przez licznych amatorów spacerów łodzią i pięknej przyrody.

DZIEŃ W DOMU WYPOCZYNKOWYM

SIEMION GARIN

Korespondencja dla „ŚWIATA“ z Moskwy

O D RZEKI Moskwy idzie fala świeżego, chłodzącego powietrza, dobiegają dzwieczne głosy kąpiących się. Już od samego rana na plaży jest rojno; mnóstwo łódek, łódeczek, gumowych kajaków ślizga się po lustrzanej tafli rzeki. Ale tu, na wysokim wzgórzu porośniętym drzewami, jest cicho i spokojnie. Od razu zapomina się, że jestem niemal w środku miasta, że tuż obok znajduje się stacja metra, że bardzo niedaleko wznosi się Pałac Nauki — nowe gmachy uniwersytetu...

Ludzie odpoczywają w hamakach, w wysłanym fotelach, na leżakach; z zacienionych kortów ledwie słychać uderzenie rakiety o piłkę, z boiska, gdzie gra się w siatkówkę — głosy graczy; nieco dalej są czytelnie i pawilony, gdzie mieszkańcy Moskwy pochylają się w skupieniu nad książką, tygodnikiem, rękopisem...

— Spóźniliście się trochę — mówi do mnie Dina Kotowa, dyrektor domu wypoczynkowego. — Nasi dzisiejsi goście przyjechali przed półtora godziną, zjedli śniadanie i teraz nie łatwo będzie ich odnaleźć...

Dina Kotowa pracuje czternaście lat w Centralnym Parku Kultury i Odpoczynku im. Gorkiego. Kiedy przed czterema laty otworzono w Parku dom przeznaczony dla ludzi, którzy chcą odpocząć tylko przez jeden dzień, ta dzielna kobieta została jego dyrektorem. Dom wypoczynku w mieście!... Wielu ludziom wydawało się, że to pomysł bezsensowny, że trudno będzie znaleźć chętnych. Ale dom stał się bardzo popularny, podobne domy otwarto we wszystkich wielkich parkach stolicy. Teraz zawsze w nich pełno.

Pobyt kosztuje niewiele — dwadzieścia rubli. W tę sumę wliczone są trzy posiłki i rozrywki — koszty wycieczek, koncertów, sportowego inwentarza oraz biblioteki. W większości wypadków siedemdziesiąt procent kosztów opłacają związki zawodowe, które zakupują pobyt dla robotników i urzędników. Zresztą miejsce w tych domach można zamówić przez telefon lub zapewnić sobie bezpośrednio po przyjeździe.

Do dyspozycji gości jest cały ogromny park, jego teatry i kina, odbywające się tu koncerty, wszelkiego rodzaju rozrywki, pływalnie i jacht-klub, wycieczki — co się tylko komu spodoba!

— Lubię wypoczywać w spokoju — mówi starszy robotnik z tekstylnej fabryki im. Nogina. — Często tu przyjeżdżam.

Iwan Kuźmicz Krutilin zajmuje się w swoim zakładzie pracy remontem sprzętu. Czasem wypadnie mu pracować i w niedzielę, a nierzadko też na nocnej zmia-

nie. Dziś właśnie, po nocnej zmianie, przyjechał do swego „drugiego domu“.

— Wysłałem rodzinę na lato na wieś. Po cóż miałbym się kłopotać gospodarstwem, kiedy tu mam wszystko gotowe?

Po śniadaniu Krutilin uciął sobie godzinną drzemkę w hamaku. Potem udał się do czytelnicy, wziął książkę i znów wrócił do swego wygodnego łóża, przywiązanego do dwu sosen...

Opodal, w cieniu, siedzą pochyleni nad książkami studenci. Czas teraz gorący — egzaminy; przyjeżdżają tu na cały dzień, by pracować i wypoczywać jednocześnie. Od studentów dowiaduję się, że w parku została otwarta filia publicznej biblioteki historycznej. Można tam zamówić każdą książkę. Książka zostanie dostarczona w terminie.

— Wiecie, to wspaniale! — woła młody człowiek — Nie dość, że jest się jak na wakacjach, to jeszcze każda książka, jakiej dusza zapagnie, na zawołanie!...

Do domu wypoczynkowego wielu ludzi przyjeżdża również na dłużej.

— Widzicie — mówi Dina Kotowa — ludzie zamawiają sobie pobyt na tydzień lub dwa. Przecież często się zdarza, że ktoś nie może wyjechać z Moskwy.

— Czy bywają tu także ludzie spoza Moskwy?

— Sporo, zwłaszcza z pobliskich wsi i miast. Pomyślcie, jak to wygodnie: przyjeżdża ktoś na dzień do Moskwy, nie musi się kłopotać o nic, czas spędza jak mu się żywnie podoba. Dziś przyjechały samochodami dwadzieścia trzy osoby z kolchozu „Promień“. Wybrali się teraz na wycieczkę tramwajem rzeczonym. Zobaczą Plac Czerwony, nowe budynki uniwersytetu. Wrócą na cbiad.

...W sali odczytowej odbywa się prelekcja o Włodzimierzu Majakowskim; od czasu do czasu prelegent przerywa ciekawą opowieść oddając głos recytatorowi, który znakomicie deklamuje wiersze najwybitniejszego z poetów radzieckiej epoki. Potem prelegent znów podejmuje wątek.

Sporo jednodniowych pensjonariuszy wybrało się do kina na nowy gruziński film „Keto i Kote“, inni są na porannym koncercie w Zielonym Teatrze. Młodzież jest nad rzeką — w pływalniach. Wkrótce wszyscy się zjedzą: obiad jest między drugą a trzecią.

Jadalnia znajduje się w obszernym pawilonie. Stoły są już nakryte i wszystko do obiadu przygotowane. Jadłospis urozmaicony: mięso, jarzyny, świeża ryba,

sałaty. Dla tych, którzy muszą przestrzegać diety, prowadzi się oddzielną kuchnię.

Po obiedzie, zgodnie z przepisami obowiązującymi w domach wypoczynkowych, życie milknie na dwie godziny. Jest to czas ciszy. Nie słychać muzyki, zaprzestano gier i zabaw. Ludzie odpoczywają.

Każdy odpoczywa oczywiście jak i gdzie mu się podoba; jedni drzemią w hamakach, inni wyciągnięci na leżakach, pogrążeni w poobiedniej lekturze; ktoś leży na trawie; jakaś grupa spaceruje ścieżkami parku, które wznoszą się po pochyłościach do góry, by potem znów opaść ku rzece.

Na ławce przed gazonem grupa starszych kobiet. Są to emerytki, dawniejsze robotnice tkackie. W tej chwili zajęte są robotami ręcznymi, jedna czyta głośno gazetę.

Najwięcej zwolenników ma przed południem pływalnia na rzece Moskwy. Woda jednak jest jeszcze dosyć zimna



Nawiązaliśmy rozmowę. Są tu nie po raz pierwszy. Maria Terentjewna Akułowa jest stałym gościem od czterech lat z kolei.

— W lecie przyjeżdżam tu dwa lub trzy razy miesięcznie, a nawet więcej. Zabieram również ze sobą moją wnuczkę. To raj dla dzieci. Mają tu wszystko, czego dusza zapagnie. Dziećmi zajmuje się wychowawca: uczy ich pieśni i tańców, towarzyszy w przechadzkach po parku

— Bardzo mi się tu podoba — mówi przyjaciółka Marii Terentjewny, która przed chwilą czytała głośno „Prawdę”. — Szkoda tylko, że tak wcześnie zamykają dom.

— Jak to wcześnie?

— Pierwszego października. Byłoby dobrze, gdyby i w zimie było coś takiego...

— Pomyślano już o tym — mówi dyrektor Dina Kotowa — Zbudujemy krytą werandę, gdzie można będzie odpoczywać tak samo jak w lecie, tyle że w spiworach.

— A, to i owszem! — kiwają głowami kobiety.

Długo spaceruję po malowniczym parku. Na stoku wzgórza rozmieścili się malarze-amatorzy. Składane sztalugi, pudełka z farbami. Widok jest stąd wspaniały! Z lewej strony białe, ażurowe prawie kompleks budynków uniwersyteckich; z prawej Moskwa, nad nią wieże wysokościowców; w dole srebrzyste zwierciadło wody, śnieżnobiałe parowce, rzeczne tramwaje, różnobarwne łódki, lekkie żaglowce. Na barwach tu nie zbywa, byleby znaleźć odpowiednie na palecie. Siedemnastoletni chłopak maluje gmach uniwersytetu.

— W tym roku kończę szkołę. Pójdę tam — wskazuje pędzlem na swój rysunek i gmach uniwersytetu, którego sylwetka rysuje się na tle nieba.

Jego sąsiad namalował rzekę w gorącym świetle południa. To starszy człowiek, liczący około pięćdziesięciu lat.

— Jesteście malarzem?

— Tokarzem w fabryce samochodów im. Stalina. Przygotowuję się do wystawy fabrycznej. Cykl rysunków i obrazów poświęcam odpoczynkowi mieszkańców stolicy. Zeszyłem fałsem malowałem pływaków...

Oto kołchoźnicy, którzy przyjechali swoim samochodem. Proszą dyrektorkę o książkę opinii i propozycji.

Książka zawiera już wiele uwag. Goście dziękują za dobrą obsługę, uwagę, troskliwość, dbałość o ich żądania. Podpisani są tu robotnicy, studenci, uczniowie, kołchoźnicy. Widać, że mieszkańcy Moskwy i okolic bardzo już zrosli się z tym domem.

Czas mija niepostrzeżenie; jest już pora kolacji. Słychać muzykę z pawilonu tanecznego, który znajduje się pod otwartym niebem. Komunikat o programie teatrów i koncertów na dzisiejszy wieczór. Dzień odpoczynku zbliża się ku końcowi.

Kiedy jednodniowi goście opuszczają wśród podziękowań dom, biegną za nimi zaproszenia:

— Przyjeżdżajcie znowu!

— A jakże, przyjedziemy. Znamy już drogę...

Zdjęcia: W. KOLESNIKOW



Trasa Raidu Uniwersalnego — 117 km, w tym 39 km jazdy terenowej. Jeden z odcinków trasy prowadził przez piaszczystą drogę. Na zdj.: Bachowska na SHL-ce.



Na trasie raidu było kilka punktów kontrolnych, gdzie w oznaczonym czasie zawodniczki musiały się zameldować. Właśnie R. Młynarska melduje się o czasie.

KOBIETY NA MOTORACH

Zdjęcia: CAF

Jeszcze kilkanaście lat temu widok kobiety jadącej na motorze budził powszechną sensację. Uważano, że sport motorowy może być uprawiany tylko przez mężczyzn, gdyż jest to sport za trudny i za śmiały dla kobiet, które „nie są tak odważne jak mężczyźni...”

Dziś sport motorowy w Polsce ma wśród kobiet wiele miłośniczek. Mamy nawet zawodniczki z licencjami Polskiego Zw. Motorowego, uprawniającymi do startu w zawodach. Do tej jednak pory nasze „zmotoryzowane amazonki” nie miały zorganizowanej dla siebie, kobiecej imprezy motorowej i z konieczności startowały w męskich konkurencjach — często nawet z powodzeniem. Ewa Calewska z częstochowskiego Włókniarza zajmuje np. w ogólnej klasyfikacji do raidowych mistrzostw Polski 10-te miejsce na liście męskiej, a Julia Bachowska (Górnik Sosnowiec) pokonała w zawodach niejednego zawodnika.

Wreszcie motocyklistki doczekały się swojej imprezy — I Uniwersalnego Kobiecego Raidu Motocyklowego, zorganizowanego przez Oddział P.Z.Mot. w Gliwicach.

Organizatorzy mieli duże zaufanie do umiejętności, zdolności i ambicji uczestniczek, ustalając warunki raidu niewiele łatwiejsze niż dla mężczyzn. I nie zawiedli się. Zawodniczki jechały jak „szatany”, pokonując po bohaterzku ciężkie odcinki trasy.

Raid był ciężki — ale bardzo ciekawy. Podjazd pod Górę św. Anny był naprawdę bardzo trudny. Tu była kopalnia punktów karnych. Niejednej zawodniczce zgasł tu motor, niejedna leżała razem z maszyną, niejednej dopiero za drugim czy trzecim razem udało się pokonać górę. Żadna jednak nie zrezygnowała, wszystkie ku zdumieniu widzów odcinek ten zdobyły, udowadniając, że raidowy sport motocyklowy może być z powodzeniem uprawiany przez kobiety.

Zawodniczki startowały w dwóch kategoriach maszyn: 125 ccm i 250 ccm. W pierwszej triumfowała zupełnie niespodziewanie zawodniczka z LPŻ Warszawa, Leokadia Kobus, która ukończyła raid z minimalną ilością 0,3 pkt. karnych, dystansując Bachowską (13,75 pkt.), młodą Wiesławę Szulc (18,5 pkt.) i R. Młynarską (36,1 pkt.).

A czy wiecie, że Kobus otrzymała prawo jazdy dopiero rok temu? Mimo to nie tylko pewnie prowadzi motor, ale potrafi również majstrować przy nim jak stary mechanik.

Ewa Calewska czuje się na siodełku motocykla jak w wygodnym fotelu klubowym. Jeździ pewnie i ładnie, nawet może troszkę za nonszalancko. To przyniosło jej 1,1 pkt. karnych. Zwycięstwo jej w kategorii 250 ccm było zdecydowane, chociaż 16-letnia Aleksandra Dobicka (8,1 pkt.) mogłaby poważnie z nią walczyć, gdyby nie defekt motoru.

Dobłą jazdą wyróżniła się również Lidia Kostrzewa ze Szczecinka, która z zapalem startuje kiedy tylko ma ku temu okazję. Jej Jawa przebyła już dwadzieścia kilka tysięcy km, wiernie służąc bez defektu swojej właścicielce.

Raid Uniwersalny obejmował jazdę na odcinkach obserwowanych, jazdę w terenie oraz próbę szybkości. Ta ostatnia wyglądała dosyć groźnie z uwagi na ochronne kaski wyścigowe, które ozdabiały głowy śmiałych amazoнок. Nie były to wprawdzie szybkości „fantastyczne”, ale jak na wysłużone SHL-ki i Jawy — zupełnie przyzwoite. Może w przyszłości 170 km/godz. (takie wyniki uzyskują motocyklistki radzieckie) będzie „bułką z masłem” dla naszych zawodniczek. Na razie jadą wolniej. Ale mają dużo zapachu — i co ważniejsze — zarażają nim inne, mniej śmiałe kobiety.

Z. DALL



Janina Bieras ze Stali Zabrze zademonstrowała na SHL-ce ładną jazdę. Natomiast trochę gorzej było z przygotowaniem maszyny do próby szybkości.

Tak wyglądał pierwszy próg podjazdu na Górę św. Anny. Zawodniczki musiały jechać drogą wytyczoną chorągiewkami. Przekroczenie drożki to punkty karne. Na zdj.: E. Możdżeńka na SHL-ce zaczyna podjazd.



i nie wszyscy decydują się na natychmiastowy skok, jak to uczynił młodzieniec, zasłonięty właśnie spienioną falą.



GORĄCA WIEŚ

AMBINANITELO

LĘKARZ zna dość dokładnie sprawę zainteresowania się Madagaskarem pewnych kół „sanacyjnych” w Polsce i słyszał o ich utopijnych planach wysłania na tę wyspę jakiejś fantastycznej liczby osadników*). Jednomyślnie stwierdzamy, że to godna potępienia mrzonka.

Ostatnie słowa słyszy wchodzący nauczyciel Ramaso, którego również zaprosiłem do siebie.

— Mówicie: mrzonka? — podchwytuje. — To, co na zewnątrz wydaje się głupią i naiwną mrzonką, najczęściej traci ukrytym łotrstwem grandziarzy imperia-listycznych...

Oczywiście, jak zwykle, jestem najwięcej ciekawy tego, jak ci trzej, a zwłaszcza lekarz Ranakombe, myślą o przyszłości Madagaskaru i jaki jest ich stosunek do obecnych władz kolonialnych. Niebezpieczny temat, bo nawet rozmowny lekarz stara się trzymać język za zębami i odpowiada tylko historycznym porównaniem:

— Jaki nasz stosunek do władz kolonialnych? Myślę,

że taki sam, jaki był stosunek Polaków do swych zaborców w XIX wieku.

— Czy taki sam? — wyrażam wątpliwość. — Dawał mi wyraz naszym poglądom codziennie, w prasie, w rozmowach, w manifestacjach, a co pokolenie podnosiłoby zbrojne powstania... U was raczej cisza.

— Cisza?! — odzywają się przeciągłym głosem naraz obydwa, Rajaona i Ranakombe. Są przejęci, są podnieceni. Lekarz wstaje i przechadza się po chacie tam i nazad.

— Jeśli się nie mylę — podejmuje wójt Rajaona — to znacie, vazaho, niezłe historie państwa Howów w XIX wieku. Przecież, co najbardziej wyróżnia się w owych czasach, to rozpaczliwa obrona naszej niezawisłości przed obcą inwazją. Opór wszedł nam w kość, stał się manią. Dwa razy odpieraliśmy zbrojną ręką najeźdźców: w 1830 roku zadaliśmy klęskę Francuzom, a w 1845 roku nawet zjednoczonym wojskom francusko-angielskim, które wylądowały w Tamaławie. Tego tak łatwo się nie zapomina.

— A pół wieku później, w decydującej chwili dziejowej, poddanie się Francuzom niemal bez strzału?

— Słusznie! — przyznaje wójt. To czarna plama na-

ne grunta Madagaskaru są już zajęte przez Malgaszów, w niektórych okolicach nawet przeludnione.

Książka moja „Jutro na Madagaskar” wyszła z druku w grudniu 1938 roku. Książka ta w zasadzie nie wykluczała możliwości bardzo skromnego osadnictwa europejskiego w pewnej zdrowszej okolicy Madagaskaru, osadnictwa uzależnionego od poprzedzającej ją kosztownej melioracji gruntów.

szej historii. Królestwo Madagaskaru było schorzone. Rządy szlachty Andrianów doprowadziły je do ruiny.

— Z upadkiem królestwa — wtrąca się Ranakombe — skończyła się rola dziejowa Andrianów raz na zawsze. Francuzi zniszczyli ich i wszystko, co miało do tychczas jakąś wagę. Od tego czasu rodzi się w naszym społeczeństwie i z każdym rokiem nabiera siły nowy stan, średni, nowoczesny, patriotyczny mieszczaństwo, oparte o demokrację, którego przedstawicielami jesteśmy my...

— A czy teraz wy, mieszczaństwo howskie, nie idziecie całkowicie na pasku administracji kolonialnej?

Zacznę mój ton wprowadza ich w zakłopotanie. Nastaje milczenie. Obydwa są urzędnikami tejże administracji, więc wąż w myślach, jakby odpowiedzieć.

— Macie wiele racji, vazaho! — przyświadcza Ranakombe. — Idziemy na pasku, bo inaczej nie mielibyśmy żadnego dostępu do oświaty i rozwoju. My, ludy kolonialne, jesteśmy zamknięci od świata i zależni we wszystkim od państw kolonialnych.

— Nawet w swym sumieniu i w ugodowych poglądach politycznych? — pytam z nieukrywaną ironią.

— Wybaczcie, vazaho, ale nie wiecie, jakie nury mogą kryć się pod powierzchnią pozorów, narzuconą nam przez obcych.

— Jakie nury? — wyrażam niedowierzanie.

Lecz Ranakombe nie dochodzi do głosu. Wójt Rajaona zrywa się gwałtownie z siedzenia i biegnie do wejścia chaty.

— Babakuty się odezwały! — stwierdza podnosząc rękę i nasłuchując. — Słyszycie?

Od skraju puszczy, oddalonego o jakie tysiąc kroków od mej chaty, słyszymy przeciągłe, żalosne wycie lemurów. W nieruchomym, przedwiecznym powietrzu leśne odgłosy wyraźnie roznoszą się poprzez pola ryżowe po całej dolinie.

— Często o tej porze wyją — oświadczam, niezbyt przejęty odkryciem wójty.

Rajaona chcąc usprawiedliwić nagłe przerwanie wątku rozmowy tłumaczy mi:

— Babakuty w naszych legendach odgrywają ogromną rolę. Musicie koniecznie spisać sobie te opowieści do waszych notatek...

— Chętnie je spiszę, ale... przy innej sposobności — zbywam go i staram się nie widzieć ostrzegawczych spojrzeń, jakie Rajaona ukradkiem rzuca lekarzowi.

Przezornemu wójtowi nie udaje się skierować naszej rozmowy na inny tor. Wracamy do poprzedniego tematu. Lekarz Ranakombe, ostrzeżony, ale i porwany uniesieniem, nie daje za wygraną:

— Mówicie, że u nas cisza? Czy pozwolicie, vazaho, że wam podam kilka faktów z naszej historii, zadających kłam tej rzekomej ciszy?

— Czy faktów z ostatniego okresu, kolonialnego?

— Tak jest.

— Bardzo ciekaw.

— Więc słuchajcie. W kilka miesięcy po niesławnej kapitulacji w roku 1895 tysiące Howów powstały przeciw francuskiemu wojsku. Owi partyzanci, fahavale, których Francuzi naturalnie uważali za bandytów, byli szczerymi patriotami i najeźdźcom dali się mocno we znaki. Z trudem wojska francuskie stłumiły to powstanie popełniając straszne okrucieństwa i puszczając z dymem trzysta z górą wsi. Trzysta wsi na naród liczący niespełna milion ludzi, to wymowny dowód oporu, jaki stawiali Howowie.

Ranakombe zapala papierosa, przy czym lekko drżąc mu ręce.

— W kilka lat później — ciągnie — w pierwszych latach naszego wieku, powstało całe południe Madagaskaru. W tym buncie połączyły się wszystkie południowe szczepy, dotychczas między sobą skłócone: Tanala, Bara, Antanosy, Antandroy, Mahafaly. Walki trwały całe lata, zanim Francuzi opanowali sytuację, znowu środkami najbrutalniejszymi, nie szczędząc kobiet i dzieci.

— Ale to nie byli Howowie.

— Nie Howowie, lecz tak samo Malgasz. Jest właśnie znamienne, że i oni, ci na południu, wystąpili przeciw obcemu panowaniu. Idźmy dalej. Podczas wojny światowej *) powstał wśród Howów tajny związek Vy-Vato-Sekehila, co znaczy: zahartowani jak żelazo i skała. Do niego należały tysiące spiskowców, głównie ze sfer mieszczańskich, a więc nauczyciele, pastorowie, lekarze, urzędnicy kolonialni i prywatni, i nawet uczniowie szkół, a celem spryszczenia było wytepienie, względnie wydalenie z wyspy wszystkich kolonizatorów. Na skutek donosu Francuzi wykryli spisek w ostatniej chwili przed wybuchem powstania. Tym razem obawiali się zabijać patriotów, bo była wojna światowa i Francja potrzebowała rekrutów malgaskiego. Więc tylko kilkudziesięciu dowódców skazano na wieloletnie lub dożywotnie więzienie, a kilkuset innych wydalono z wyspy. Inne wydarzenie: w maju roku 1929 trzy tysiące Howów urządziło w Tananarywie demonstracyjny pochód pod hasłem: Precz z vazahami. Demonstranci wtargnęli do pałacu gubernatora generalnego i przez kilka godzin okupowali gmach, zanim oddziały policji i wojska nie wygnały ich stamtąd. A jak jest dzisiaj, w obecnej chwili? Parę miesięcy temu gubernator generalny Cayla miał znamienne przemówienie podczas obrad Delegacji Gospodarczej Kolonii. Cayla ni mniej ni więcej tylko z niepokojem obwieścił o istnieniu silnego wrzenia wśród Malgaszów. Objawia się ono w formie

*) Mowa o pierwszej wojnie światowej.

A OTO TANIEC MALGASKI, KTÓRY MÓWI O WALCE.



biernego oporu wobec wszystkich zarządzeń władz kolonialnych, zwłaszcza na polu gospodarczym. Między innymi w okresie ostatnich zbiorów goździków na europejskich plantacjach okoliczni Malgasz odmówili pomocy, narażając właścicieli plantacji na katastrofalne straty. — Nie, vazaho! Obojętnie pod jakim kątem widzenia chcecie spojrzeć na tę wyspę, ciszy, o której mówiliście, tu nie ma.

— Ze Ranakombe nie mija się z prawdą — odzywa się nauczyciel Ramaso — mogę i ja poświadczyć. Z wiarygodnego źródła dostałem w tych dniach wiadomość, że w okręgu Antalaha, oddalonym od nas o jakie sto kilometrów, na tamtejszych plantacjach wanilii powstały zamieszki. Zatarł między robotnikami a francuskimi plantatorami doprowadził już do wielu aresztowań, co jeszcze bardziej wzburza ludność.

— Nie! — namiętnie powtarza Ranakombe. — Ciszy tu nie ma.

I wszystko wskazuje na to, że howski lekarz nie myli się. Pomimo oficjalnych zapewnień francuskiego rządu, że na Madagaskarze wszystko w porządku, są widoczne oznaki, że ten porządek posiada rysy. Wrzenie narodo-wo-wyzwolenie, ogarniające wszystkie południowe rubieże Azji, przenika już także i na Madagaskar. Powoli, lecz z nieubłaganością dziejowego wyroku, narastają tu trudności dla kolonizatorów. Jaki wezmą obrót i jak ukształtują się dzieje tej wyspy? Chętnie ale dziabym się, co o tym myśli moich trzech gości, dowie to znowu przedmiot zapalny, a oni niezbyt skorzy do wynurzeń.

— Nie wyobrażam sobie inaczej rozwoju wypadków — podsumowuję im — jak tylko w formie oderwania się Madagaskaru od Francji kiedyś, gdy sprawa ta dojrzeje.

Ostrożni Rajaona i Ranakombe robią niewyraźne, spłoszone miny. Po chwili lekarz zabiera głos:

— To sprawa nie tak prosta. Nie wykluczone, że dojdzie do oderwania się w dalekiej przyszłości. Lecz ludzkie o tak dalekich i krańcowych celach są u nas w mniejszości. Doświadczenia ostatnich dwóch pokoleń nauczyły nas trzeźwej oceny stosunków. Wiemy, że zdobycie zupełnej niepodległości w obecnym układzie sił jest rzeczą niemożliwą do ziszczenia, natomiast coraz więcej Malgaszów pragnęłoby uzyskania szerokiej autonomii w ramach imperium francuskiego.

— Czy czegoś na wzór dominium w imperium brytyjskim? — pytam.

— Tak jest. Wielu Malgaszom, umiejącym myśleć politycznie, wydaje się to realnym i osiągalnym rozwiązaniem: Madagaskar dla Malgaszów poprzez autonomię gospodarczą i polityczną w ramach imperium francuskiego.

— Czy dążenia te nabrały jakiejś konkretnej formy?

— Nie, jeszcze nie. To na razie tylko nieskrystalizowane nastroje. Ale prędzej czy później zawiąże się chyba jakaś partia polityczna, która tym nastrojom nada realny kierunek...***

Balszy ciąg w następnym numerze

*** Taka partia w istocie powstała w roku 1946 pod nazwą Ruchu Demokratycznego Odrodzenia Malgaskiego (Mouvement Democratique de Renovation Malgache — w skrócie MDRM). Niezależnie od działalności tej partii rozgorzenie wśród ludności tubylczej przeciw rządowi kolonizatorów rosło z miesiąca na miesiąc. Gdy nowy gubernator generalny, Coppet, przybył na Madagaskar, masy ludowe stolicy Tananarywu witały go okrzykami:

„Precz z Francją!“ „Francuzi do Francji!“.

W tym samym roku 1946 rząd francuski, chcąc zapobiec powojennemu rozkładowi swego imperium kolonialnego, nadał wszystkim poddanym, a więc i Malgaszom, prawa obywatelskie. Jak te prawa wyglądały w życiu kolonialnym, wkrótce wyszło na jaw na przykładzie Madagaskaru. Partia MDRM, będąca narzędem sfer burżuazyjnych, była całkiem legalna i do swego celu — uzyskania autonomii Madagaskaru w ramach tak zwanej Unii Francuskiej — dążyła legalnymi środkami. Kierownictwo jej, z natury rzeczy, głównie spoczywało w rękach Howów. Szybki wzrost jej wpływów zaniepokoił do tego stopnia kolonizatorów, że utworzyli nową partię malgaską, profrancuską, mającą za zadanie rozbić jedność malgaskiej. Gdy szczyt Malgaszów przeciw Malgaszom nie odniosło skutku, pod koniec marca 1947 roku dopuszczono się haniebnego prowokacji wobec partii MDRM. Lokalne rozruchy, wywołane w tajemniczy sposób w Moramanga i na wschodnim wybrzeżu wyspy, posłużyły jako pretekst do rozpoczęcia krwawych prześladowań, jakich mało było w ponurych dziejach kolonialnych. Wszystkich członków partii MDRM uznano za przestępców i aktywnych powstańców. Biała ludność cywilna otrzymała broń i wespół z oddziałami wojska mordowała podeszłych Malgaszów z taką zacieklnością, że można to tylko nazwać obłędem zabijania. Malgasz nie był wcale przygotowany do obrony, a ginęli nie tylko członkowie partii, lecz także ludzie, którzy chociażby drobny mieli kontakt z polityką, i ludzie zupełnie na uboczu. Liczba zabitych, oficjalnie stwierdzona, wyniosła około 90.000 — przerażający odsetek na niespełna cztery miliony Malgaszów. W samym na przykład Moramanga wszystkich ważniejszych mieszkańców, w tym lekarzy, nauczycieli, kupców, zamknięto do wagonów kolejowych i wystrzelano ogniem artyleryjskim.

Aresztowanym przywódcom politycznym, którzy uszli z życiem, wytoczono proces w Tananarywie. Parodia procesu ujawniła cały cynizm nienawисти się z najprostszymi zasadami sprawiedliwości. Fizyczne torturowanie i rozstrzelanie niewygodnych świadków przed rozprawą należały do porządku dziennego. Wielu najwybitniejszych Malgaszów, w tym także posłów do francuskiego Izby ustawodawczej, skazano na karę śmierci. Wyroki częściowo wykonano, częściowo odroczone, ażeby tym mocniej utrzymać lud malgaski w stałym terrorze. Od czasu do czasu dochodzą z Madagaskaru wieści o rozstrzelaniu skazanych, jak na przykład o rozstrzelaniu w Flanarantsoa trzech patriotów malgaskich w kwietniu 1951 roku, a więc w trzy lata po głównym procesie tananarywskim.

Prasa metropolii francuskiej potępiała okrucieństwo metod zastosowanych na Madagaskarze, i nawet pisma prawnicze musiały przyłączyć się do surowego napiętnowania wypadków w kolonii.

Po wypadkach w roku 1947 i dalszych ich następstwach nie może już być mowy o pozornym nawet pogodzeniu Malgaszów z kolonizatorami i ich systemem rządzenia. Rozłam musi powiększać się z każdym rokiem aż do chwili zwycięstwa sprawiedliwości dla szczepów malgaskich.

SWIAT o tym wie!

NAILEPSZE TRADYCIE

Tytuł reportażu, zamieszczonego w amerykańskim miesięczniku „Detective World“, brzmi: „Europejski napad na bank — w amerykańskim stylu“.

„Zgodnie z najlepszymi amerykańskimi tradycjami gangsterskimi — zaczyna się ten bogato ilustrowany reportaż z Niemiec zachodnich — trzech młodzi Niemcy dokonali napadu na bank na spokojnym przedmieściu Frankfurtu. Trzej zamaskowani bandyci, mający po dwadzieścia lat, wtargnęli do banku tuż przed końcem urzędowania, odebrali sterroryzowanym urzędnikom równowartość 714 doła-

rów a następnie zaczęli nerwowo strzelać do nieuzbrojonych pracowników banku. Jeden urzędnik zginął na miejscu, zaś drugi, którego widać na zdjęciu, został zastrzelony przez napastników, kiedy usiłował wybiec na dziedziniec“.

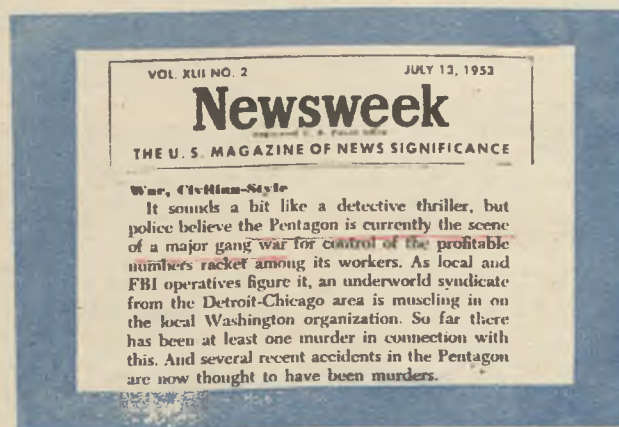
Podzielimy dumę amerykańskiego brukowca: „Zgodnie z najlepszymi amerykańskimi tradycjami gangsterskimi...“ Kto wie, może to właśnie w lekturze „Detective World“ czy innego szmatławca, zalegającego kioski zachodnich Niemiec, znaleźli młodzi bandyci natchnienie i fachowe rady do swego czynu.

European Bank Robbery—AMERICAN STYLE



GANGSTER CZY GENERAL?

Pytanie to zadawać sobie muszą czytelnicy tygodnika amerykańskiego „Newsweek“, myśląc o którymkolwiek z zasiadających w Pentagonie dowódców amerykańskiej armii. We wspomnianym piśmie bowiem z datą 13 lipca ukazała się następująca wiadomość:



A oto jej treść w dosłownym tłumaczeniu:

„WOJNA W CYWILNYM STYLU. Brzmi to trochę jak powieść detektywistyczna, lecz policja sądzi, iż Pentagon jest obecnie terenem wielkiej wojny gangsterów o kontrolę zyskowej bandy hazardzistów, istniejącej między pracownikami tej instytucji (tzn. Pentagonu — przyp. nasz). Agenci FBI oraz lokalni uważają, iż podziemny syndykat z terenu Detroit i Chicago chce wyprzeć stamtąd lokalną organizację waszyngtońską. Dotychczas w związku z tym dokonano co najmniej jednego morderstwa. Szereg niedawnych wypadków w Pentagonie uważa się teraz również za morderstwa“.

I teraz zgaduj: gangster czy generał?

MADE IN ENGLAND (1953)

Ostatni numer brytyjskiego tygodnika „Picture Post“ przynosi sensacyjną wiadomość z działy mody. Otóż niejaki Cyril Wilkinson z londyńskiej Grosvenor Street od 35 lat żyje z fachowego przekuwania muszli usznych kobietom, które chcą nosić kolczyki. Historyczne daty w jego twórczości to: 1951 (klientka — królowa Elżbieta II) oraz 1937 (klientka — Królowa Matka). Obecnie, na żądanie swych klientek, Wilkinson przekuwa nozdrza. Ten prosty zabieg umożliwia elegantkom noszenie twarzowych kółek w nosie, co obecnie praktykowane jest jeszcze tylko wśród najdzikszych plemion afrykańskich oraz wśród buhajów zarodo-



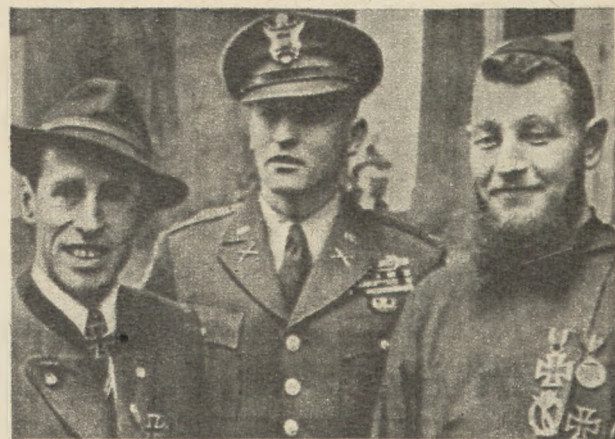
wych w Polsce, przy czym te ostatnie wcale sobie tej mody nie chwają. Gdyby więc i u nas jakiś lasy na innowacje zachodniej mody „kociak“ chciał wypróbować, to polecamy do wykonania zabiegu któregoś z fachowców oborowych z PGR czy większej spółdzielni produkcyjnej.

TRZEJ (FASZYSTOWSCY) MUSZKIETEROWIE

Na jednym z licznych ostatnio zjazdów w Austrii, gdzie hitlerowcy wspominają dawne, dobre czasy i sposobią się do nowych ponurych wyczynów, pozowała fotografowi do zdjęcia grupa trzech (faszystowskich) muszkieterów. Od lewej: odznaczony hitlerowskim „Krzyżem Rycerskim Żelaznego Krzyża“ Adam Ebner, prezentujący z dumą niezliczone „odznaczenia z Korei“ amerykański porucznik Heikinnen, oraz odznaczony hitlerowskim „Żelaznym Krzyżem I Klasy“ i hitlerowską (słuchajcie, słuchajcie!) „Odnaką Szturmową Piechoty“ Ojciec Bruno z zakonu OO.

Kapucynów. Ten ostatni reprezentuje niezawodnie w tym towarzystwie „ecclesia militans“ czyli „kościół wojujący“. Zachodniemiecki tygodnik „Muenchner Illustrierte“, z którego czerpiemy to zdjęcie, wyjaśnia swym czytelnikom, że wojujący (za wiarę i za Hitlera) Ojciec Bruno był nawet przedstawiony do odznaczenia „Krzyżem Rycerskim“, ale że ostatecznie nie chciano dawać „osobie duchownej“ tak wysokiego orderu.

Ciekawe byłoby wiedzieć, czy Ojciec Bruno czytuje codziennie brewiarz, czy „Mein Kampf“?



STAROŚĆ MUSI SIĘ WYSZUMIEĆ

Wydawać by się mogło, że kandydat na burmistrza Nowego Jorku powinien wykazać się prawos-

cią charakteru, zdolnościami organizacyjnymi czy niespożytą energią. Tymczasem 84-letni Bernarr Macfadden, ubiegający się o to stanowisko, wezwał reporterów i ku ich radości stanął na głowie, demonstrując tym samym niezwykłą (w tym wieku) sprawność fizyczną. Czy umysłową — tego nie wiemy, ale że w Ameryce wiele rzeczy czyni się na opak, więc z tej postawy, jaką przybrał, Macfadden na pewno będzie je widział poprawnie.



TEATR ŚWIAT

Dyrekcja: JAN SZELĄG
Dekoracje i kostiumy: HA-GA
Tekst: TADEUSZ CZABAŃSKI

„TU MIKROFONY SPRAWOZDAWCZE”

Udział biorą:

Sprawozdawca sportowy,
Gong,

i (nie bacząc na koszt i trudności!)
5.000 Widzów oraz 100.000 Radio-
słuchaczy.



SPRAWOZDAWCA: Halo! Halo! Tu
mikrofony sprawozdawcze „Pol-
skiego Radia” zainstalowane w
Hali Sportowej, gdzie odbywa się
właśnie spotkanie pięściarskie po-
między reprezentacjami Żabiko-
wa i Konikowa.

GONG: (rozlega się).

SPRAWOZDAWCA: O — w tej chwi-
li usłyszeliście gong, który oznaj-
mił początek trzeciej rundy spot-
kania pomiędzy zawodnikami wa-

gi ciężkiej: Ciężarka z Żabikowa
i Odważnika z Konikowa.

5.000 WIDZÓW (skanduje): Cię-żar-
rek! Cię-żar-rek! Cię-żar-rek!

SPRAWOZDAWCA: Dzisiejsza wal-
ka jest 157 walką w sportowej
karierze mistrza Odważnika. Z
walk tych wygrał on 101, zremi-
sował 24, a resztę — jak się za-
pewne domyślicie — przegrał.

5.000 WIDZÓW (chórem): Na-przód!
Na-przód! Na-przód!

SPRAWOZDAWCA: Reprezentant
Żabikowa — Ciężarek stoczył do-
tychczas 163 walki, z których 99
wygrał, 30 zremisował i 34 prze-
grał.

5.000 WIDZÓW (z rozpaczą): Och!
Ach!

SPRAWOZDAWCA: W Hali Sporto-
wej, gdzie toczy się dzisiaj intere-
sujące spotkanie pomiędzy repre-
zentacjami Żabikowa i Konikowa,
panuje iście tropikalny upał. Przez
okna, umieszczone w ścianach, pa-
dają prawie prostopadle piękne
promienie...

5.000 WIDZÓW (z entuzjazmem): Le-
wym! Naprzód! Prawym sierpem!
Naprzód!

SPRAWOZDAWCA: ...słońca. Nie
bez znaczenia są tu ogromne re-
flektry filmowe, umieszczone pod
sufitem i zalewające całą Halę
potokami świetlnego żaru.

1.000 WIDZÓW (skanduje): Od-waż-
nik! Od-waż-nik!

SPRAWOZDAWCA: No, ale znosimy
cierpliwie i bez szemrania ten nie-
samowity upał i żar. Wiemy bo-
wiem, że reflektry konieczne są
do dokonania zdjęć filmowych,
które umożliwią obejrzenie dzi-
siejszego naprawdę niezmiernie...

5.000 WIDZÓW (z radością): Na-
przód! Na-przód! Lewym prostym!

SPRAWOZDAWCA: ...ciekawego i
żywego spotkania dziesiątkom i
setkom tysięcy miłośników sportu
w całym kraju, a także i poza je-
go granicami.

5.000 WIDZÓW (z niebывалым entu-
zjazmem): Bra-wo! Bra-wo! Bra-
wo!

SPRAWOZDAWCA: No, ale wracaj-
my do tego, co się dzieje na rin-
gu...

GONG: (rozlega się).

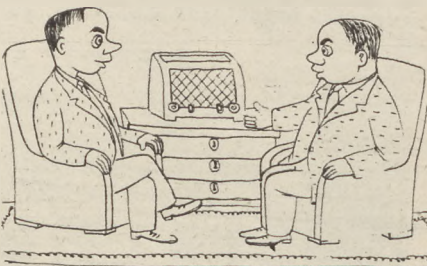
5.000 WIDZÓW: (bije zawzięcie bra-
wo).

SPRAWOZDAWCA: W tej chwili
usłyszeliście państwo gong, który
oznajmił zakończenie walki po-
między bokserami wagi ciężkiej.
Ciężarkiem i Odważnikiem, a jed-
nocześnie koniec naprawdę cieka-
wego spotkania pięściarskiego po-
między reprezentacjami Żabikowa
i Konikowa, rozegranego w Hali
Sportowej.

5.000 WIDZÓW: (bije brawo).

SPRAWOZDAWCA: Obaj bokserzy
są już w swoich narożnikach. Se-
kundanci zdejmują im rękawice i
wycierają ręcznikami spoczone
twarze. Sędzia ringowy zbiera
karty punktowe i wręcza je sę-
dziemu głównemu, który za chwi-
lę ogłosi wynik. No, o ten wynik
jesteśmy spokojni! Ponieważ i Wy,
Radiosłuchacze, mieliście jasny
obraz walki — również nie macie
najmniejszych wątpliwości co do
wyniku tej walki i całego meczu.
A więc wyłączamy na razie nasze
mikrofony. Do usłyszenia jutro
o godzinie 19.30...

(Radosne dźwięki marsza).



100.000 RADIOSŁUCHACZY: (zgrzy-
ta zębami).

KURTYNA

W sprawie tenów i kukutki

Drogi Redaktorze!

Czy cechuje Pana zmysł
analizy? — Jeśli tak, to czy
zastanawiał się Pan, z jakich
elementów składa się lep na
muchy? — Jeśli nie, to przy-
pomnę: od góry jest pętka,
do której przytwierdzony jest
pasek z papieru, obsmarowa-
ny lepem, czyli klejem o sma-
ku w guscie muszym. Całość

kończy u dołu pudełko, naj-
pierw młeszczące zwinięty
papier z lepem, a później
zbierające klej, jeśli obcieka.
Aliliści, konstrukcja tego-
rocznych lepów pozostawia
sporo do życzenia. — Pętka
przytwierdzać musieli przy-
szywacze guzików z Państw.
Wytwórci Odzieżowej, bo się
natychmiast obrywają. To
samo z pudełkami. — Nato-

miast papier obciągnięto
przez pomyłkę klejem, co
miało służyć do zatrzymania
grani Giewontu, gdyby ta
groziła osunięciem się w do-
linę.

W związku z powyższym
miałem ostatnio duże nie-
przyjemności natury towa-
rzyskiej.

Chcę spędzić kulturalnie
czas po pracy, zaprosiłem
grono przyjaciół na mały
koncert połączony z kolacją.
W tym celu zakupiłem nie-
wielką ilość prowiantów: na
stołach znalazła się sałatka z
pomidorów, wędliny, masło,
oraz pisemne zaświadczenie,
że nie dostałem chleba, bo to
była sobota, dzień przed
świętami, więc przywieziono
go mniej do rozprzedaży.

Mieszkanie mam szczęśli-
wie położone na uboczu, więc
— jak na Warszawę — jest
mało much. Ale zawsze jak-
ieś 6570 się znajdzie. Przeto
nabyłem lepów, rozwiesiłem,
goście się zeszli i zasiedli do
stołu.

— Ależ to istna uczta Luk-
susa! — zawołała znajoma,
która lubi używać obcych wy-
razów — Klebasa naprawdę
przedwojenna!...

— Rzeczywiście — potwier-
dził jej mąż. — Czuć ją, ale
nie nadzwyczajnie.

Zazdrosny, dodał prędko:
— Jak kupiliśmy serdelową
u nas na Mariensztacie, to
czuć ją było na Pradze!

Tymczasem druga znajoma
wzięła się do wsuwania sa-
łatki z pomidorów i nawet
zdążyła powiedzieć: „Wysmie-
niali!” — ale zaraz potem
umilkła na zawsze, gdyż oka-
zało się, że do sałatki spadło
pudełko od lepu i ta znajoma
zaczęła je gryźć, a ono na-
tychmiast ją zalepiło.

Włec mój kolega z redakcji,
żeby odwrócić uwagę, spytał
sąsiadkę:

— Czy można panią pocało-
wać?

Słyszac to — znajoma, któ-
ra lubi obce wyrazy, ostrzegła
tę sąsiadkę:

— Niech pani uważa, bo on
jest stary lelewel!

I miała rację, gdyż tymcza-
sem na policzek sąsiadki kap-
nęła kropla z lepu, więc jak
kolega sąsiadkę pocałował, to
się natychmiast przykleił i
całuje ją do dzisiaj.

Tymczasem inny znajomy
patrzył z zachwytem na tę
znajomą, co się zaklepała na-
zawsze i szepnął:

— Muszę zaraz dzwonić do
żony, żeby kupiła sobie kil-
ka lepów!

Zerwał się i pobiegł do te-
lefonu, ale po drodze trafił
uchem na lep, więc się na-
tychmiast przykleił i zaczął
wolać do pudełka od lepu:
„Halo, halo!” — na co pu-
dełko nie odpowiadało.

Chcę ratować sytuację,
mrugnąłem na zaproszonego
planistę, żeby już zaczął swój
koncert. Miał ochotę rozpo-
cząć od tej ślicznej piosenki
„Mazowsza”, która się nazy-
wa „Kukuleczka” i którą
wszyscy tak lubimy. Ale się
okazało, że tymczasem na
klawiatyrze spadł cały lep i
planista przykleił sobie na
tychmiast obie dłonie, tak że
zostały mu wolne tylko dwa
palce, którymi grać mógł je-
dynie: „Ku — ku, ku — ku!”
i to gra do dzisiaj.

Sytuacja, Panie Redaktorze,
jest nie do zniesienia! Bo tyl-
ko ten znajomy co się przy-
kleił uchem, jest zadowolony.
Powiedział, że z lepu nie
zejdzie i pragnie spędzić na
nim resztę życia. Nawet już
zaczął trochę bzykać.

Natomiast jedne jedyne,
które się nie przykleiły, bo
im widocznie nie smakowało,
to były — muchy.

Włec ja pytam Pana Re-
daktora: czy tak powinno
być?

JERZY WALDORFF

Droży Czytelnicy!

Ob. Wacław Bednarczyk z Mielca pisze do nas:

„Przeczytałem w Waszym tygodniku z dnia 12 lipca
Nr 28(103) artykuł dr med. Franciszka Łukaszczyka na
temat „Rak i jego leczenia”. Ja mam coś podobnego
do opisanej choroby, choruję już na to dwa lata i mnie
to martwi. Byłem już u paru lekarzy, którzy nie roz-
poznali mojej choroby. Prosiłbym Redakcję o udziele-
nie mi adresu dr Łukaszczyka, gdyż chciałbym napisać
do niego list z prośbą o wyjaśnienie mojej dolegli-
wości...”

Adres dr Łukaszczyka jest następujący: Instytut On-
kologii, Warszawa, Wawelska 15. Wydaje się nam jed-
nak, że ob. Bednarczyk winien uprzednio zwrócić się,
za pośrednictwem opiekującego się nim lekarza, do
specjalnego zakładu przeciwrakowego w Krakowie.
Obecnie bowiem powstają już we wszystkich miastach
wojewódzkich zakłady do walki z rakiem i Kraków
już taki zakład posiada.

Czytelników (ob. J. Zawadzkiego K. R., W. Mu-
chę i innych), którzy z uznaniem powitali w naszym
piśmie popularne artykuły na temat medycyny, infor-
mujemy, że artykuły takie będą się częściej u nas uka-
zywać. Nie zgadzamy się natomiast z propozycją wpro-
wadzenia stałego działu porad lekarskich lub kosme-
tycznych. Trudno zagwarantować skuteczność rad,
udzielanych na odległość w konkretnych przypadkach,
a rady i wskazówki ogólne znajdują Czytelnicy w popu-
larnych artykułach na tematy medyczne. Proponujemy
zresztą, aby Czytelnicy wypowiedzieli się jeszcze na
ten temat.

Studentka z Wrocławia. Macie w tej dyskusji zupełną
słuszność. Twierdzenie, jakoby organizatorzy Festiwalu w
Bukareszcie ograniczali ilościowo skład delegacji z krajów
kapitalistycznych, jest bzdurą. Celem takiej plotki jest zapew-
ne chęć ukrycia przed opinią publiczną faktu, że czynniki
rządzące krajów kapitalistycznych stawiały delegatom na Zjazd
niezliczone przeszkody, pragnąc uniemożliwić im zetknięcie
się z młodzieżą innych krajów, walczącą o pokój i przyjaźń
między narodami.

A. Romańska, W-wa. Istniejący obecnie w obiegu bilon jest
jeden, jaki ukazał się po wojnie. Złotówki, które można było
spotkać przed zmianą waluty, pochodziły jeszcze z lat przed-
wojennych.

Grupa górników z kop. „Polska”. Macie rację upominając
się o Wiktora Markiewkę. Pracuje on nie w kopalni „Pstrów-
ski”, ale w Waszej kopalni. Błędny podpis pod zdjęciem uka-
zał się w skutek niedopatrzności Redakcji.

„ŚWIAT”

NOWE KSIĄŻKI

LENIN O MARKSIE

Z okazji 70 rocznicy śmier-
ci Karola Marksa nakładem
„Książki i Wiedzy” ukazał
się polski przekład artykułu
W. I. Lenina pt. „Karol
Marks”.

Jest to krótki szkic biogra-
ficzny wraz z wykładem mar-
ksizmu. Artykuł ten W. I.
Lenin zaczął pisać do Słowni-
ka Encyklopedycznego towa-
rzystwa braci Granat na
wiosnę 1914 roku w Poroninie;
ukończył go w listopadzie
1914 roku w Bernie (Szwaj-
caria). Artykuł ten ukazał się
w r. 1915 w słowniku z pod-
pisem W. I. Lenina oraz dodatkiem
„Bibliografii marksizmu”.
Str. 72. Cena — 1.00.

PIOTR PAWLENKO — Ste-
powe słońce — (Czytelnik,
str. 90, zł 2.—) — czwarte wy-
danie książki znakomitego pi-

sarza, trzykrotnego laureata
Nagrody Stalinowskiej. Treść
tego pięknego utworu jest
wyprawa robotniczej brygady
transportowej, która chce po-
móc w żniwach krymskim
kołchozom. Jeden z uczestni-
ków tej wyprawy zabiera ze
sobą dziesięcioletniego synka
— Sieriożę, którego przygody
zainteresuują nie tylko mło-
dych, ale i dorosłych czytel-
ników.

SIEMION BABAJEWSKI —
Kawaler złotej gwiazdy (PIW,
str. 648, zł 30.—) — nowe wy-
danie poczytnej u nas powieści
o współczesnej wsi kubań-
skiej. Centralną postacią
książki jest bohater Wielkiej
Wojny Narodowej, czołgista,
Sergiusz Tutarinow, który
powrócił do rodzinnej
stancji, energicznie i z talen-
tem zaczyna nią kierować.
Ulepsza on gospodarstwo ca-
łego rejonu, elektryfikuje
kołchozy i wprowadza je na
drogę budowy trwałych pod-
staw komunizmu. Powieść da-
je wierny i barwny obraz
społecznego i osobistego ży-
cia ludzi radzieckich.

FRASZKA

Niesłuszna opinia

Mówili nań — „ostatni drań” —
lecz byli dość przesadni:
mimo zgodności wszystkich zdań
to nie był drań — ostatni...

WŁODZIMIERZ ŚCISŁOWSKI

ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony: Red. Na-
czelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja:
Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-00-81. Prenumerata mie-
sieczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80,
roczna zł 57,60.

Zakłady Wkłęsłodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa”
Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. Nr 503. Papier rotogr. V/80—82 cm. — 4-B-19113

ROZRYWKI UMYSŁOWE

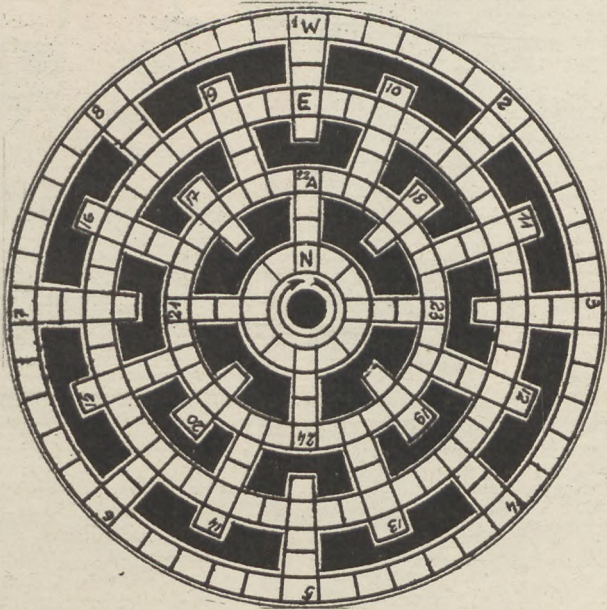
FANTAZJA KRZYŻOWKOWA

Do poszczególnych okręgów podanej figury wpisać jednym ciągiem (w kierunku ruchu wskazówek zegara) szereg wyrazów o poniższych znaczeniach, przy czym ostatnia litera jednego wyrazu jest zarazem pierwszą literą następnego wyrazu. Początki wpisywania wyrazów w poszczególnych okręgach zaznaczono literami W. E. A. N. Poza tym wpisać do podanej figury dośrodkowo szereg wyrazów o poniższych znaczeniach.

Okrąg W (w nawiasach ilość liter w danym wyrazie): Rzeką wpadającą do morza Kaspijskiego (5) — Kamień ozdobny (4) — Rzeką na Kaukazie (5) — Taniec francuski (6) — Rzeką wpadającą do morza Leptiewych (4) — Pierwiastek promieniotwórczy (5) — Rzeką, nad którą leży Leningrad (4) — W mitologii greckiej: stułki stróż (5) — Miasto portowe w Egipcie (4) — Czasomierz (5) — Stolica Lotwy (4) — Rzeką wpadającą do morza Ochockiego (4) — Miasto nad Donem (6).

Okrąg E: Bożek wiatru (3) — Medykament (3) — Pierwiastek chemiczny (6) — Stolica Albanii (6) — Sznur do chwytania dzikich zwierząt (5) — Rzeką w Afryce (5) — Sprawozdanie (6) — Wyspa na pld. od Australii (8) — Pierwiastek chemiczny (5) — Rzeką w Egipcie (3) — Guma żywiczna z Indii (4) — Port w Afryce póln. (5) — Nuta (2).

Okrąg A. Plac, na którym odbywały się zgromadzenia ludowe w starożytnej Grecji (5) — Stolica Turcji (6) — Rzeką wpadającą do zatoki Ryskiej (2) — Dopływ Leny (5) — Stodki sok kwiatów (6) — Rzeką we Francji (5) — Rola, pole uprawne (4) — Pośtać z „Balladyny” (5) —



Firma aparatów radiowych (3).

Okrąg N: Bóg morza u starożytnych Rzymian (6) — Gatunek zmij (4) — Pierwiastek chemiczny (5).

Dośrodkowo: 1) Figura w kartach, 2) Mieszkaniec Azji pld.-zach., 3) Góry w Afryce, 4) Gaz szlachetny, 5) Zespół, 6) Kraj w Azji pld., 7) Likier kminkowy, 8) Czar, 9) Roślina egzotyczna, 10) Kolej podziemna, 11) Mieszkanin wapna i gipsu, używana do wykonania płaskorzeźb, 12) Stolica CSR, 13) Część dworca, 14) Zasłona okienna, 15) Figura w szachach, 16) Jodła karpacka, 17) Ryba, 18)

Dopływ Wisły, 19) Dopływ Wisły, 20) Rzeką wpadającą do morza Azowskiego, 21) Mityczny lotnik, 22) Port w Arabii, 23) Uroczyste przyjęcie, 24) Półwysep między oceanem Lodowatym i Morzem Białym.

(J. Błaszczak — Wrocław)

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowanych zostanie

20 nagród książkowych

SZACHY

WYNIKI X KONKURSU ROZWIĄZANIOWEGO

A 91 1. Ga4

A 93 1. Ha1

A 95 1. W:f2 G:f2+ 2. K:b4 Gc5+ 3. K:c5 b2 4. K:b5 Wa8! 5. Wa8 b1H 6. Ka6 Hd3+ 7. Kb6 Hd6+ 8. Ka7! Hc5+ 9. Ka6 Kf6 10. Wb8 Ke7 11. Wb7+ Kd8 12. Wb8+ Ke7 13. Wb7+ Kc8 14. Wb8+ Kb8 pat.

A 97 1. Wc1 b6 2. Hc4 b4 3. Hh1; 1... b4 2. Wf1 Ke2 3. Hc1; 1... Ke2 2. Hf5 Kd2 3. Hf1.

A 99 1. Ga6.

B 92 1. Gh7! c5 2. Hg6+! S:g6 3. h:

g6x (Fogelewicz — Werliński, 1937).

B 94 1. H:h7+ K:h7 2. Wh3+ Kg8 3. Sg6 (Grünfeld — Wagner, Londyn 1929).

B 96 1. W:a6 W: a6 2. Wb7 Wg7 3. c7 Wa8 4. Wb8 Wg8 5. W:a8 i czarne poddały się, gdyż na 5. Wa8 nastąpiłoby 6. Sd7+ Ke7 7. Sb8! (Foltys — Golombek, mecz Czechosłowacja — Anglia, 1947).

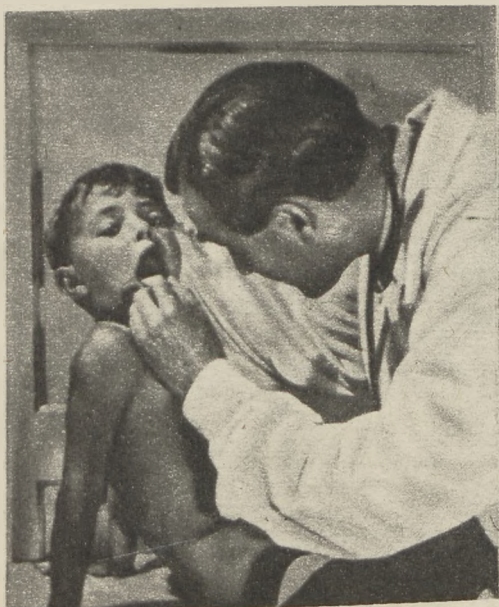
B 98 1... Wb3! i jeśli 2. c:b3, to 2... c:b3 3. Wa3 Gc2 (Ratner

— Czistiakow, 1937).

B 100 1. Wd7! i czarne poddały się, gdyż na 1... H:d7 nastąpi 2. H:h5 g:h5 3. G:h7, lub 1... H:h2+ 2. H:h2 S:h2 3. K:h2 G:g5 4. W:b7 (Wiera Men-cik — Sonia Graf).

Nagrody za poprawne rozwiązanie zadań konkursowych wylosowali: T. Myrdak, Rzeszów; K. Rolnik, Pruszków; St. Czarnecki, Ziębice; Cz. Cieśliński, Kraków. Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie ich odbioru.

MARECZEK MA ZMARTWIENIE...



Nie słuchał mamusi, nie mył ząbków, a dzisiaj bolą i musi je leczyć. Zmartwieniom tym zapobiegnie mycie zębów rano i wieczorem pastą dla dzieci „LECHIA“, której smak pomarańczowy sprawi, że obowiązek ten stanie się prawdziwą przyjemnością.



TANIO i ŁADNIE

U góry widzimy dwie suknie letnie, jedwabne (lub kretonowe), które przy odrobinie umiejętności i dobrych chęci same możemy sobie uszyć w domu. Zwłaszcza model na prawo jest bardzo łatwy w kroju.

W jednym i drugim wypadku efekt polega na wykończeniu i odpowiednio zręcznym wyzyskaniu deseni.

Modele u dołu są przeznaczone dla dzieci i młodzieży.

U góry — sukieneczka z kraciastego kretonu dla dziewczynki od 3 do 8 lat.

Niżej: bluzeczka i spódniczka dla dziewczynek w wieku od 5 do 14 lat.

Ostatni wreszcie model przeznaczony jest dla pańnek dorastających — a nawet i dla całkiem dorosłych. Bluzka i spódnica z popeliny czeskiej w dwóch harmonizujących kolorach.



W KOREI



Silami „Narodów Zjednoczonych“



Zjednoczonymi siłami narodów

rys. Szymon Kobyliński



Bez podpisu

rys. S. Wielgus



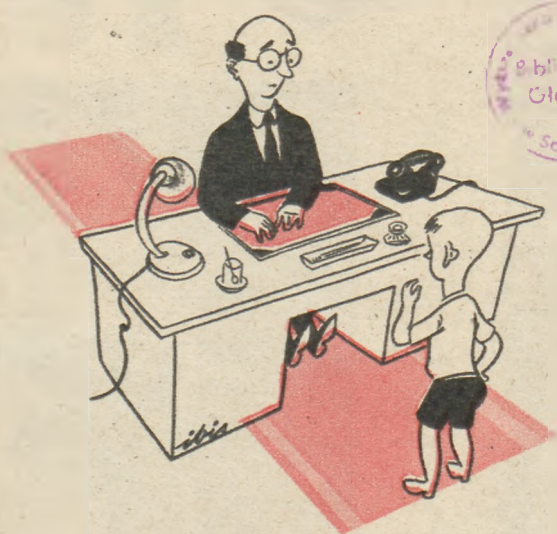
rys. Szymon Kobyliński

NA WALL-STREET
Wciągnąć do rubryki strat!...



rys. S. Wielgus

Menu rekina



rys. IBIS

— Wujku! Tatusi prosi, żebyś powiedział cioci z Personalnego, że nie przyjdzie dziś do pracy, bo pomaga z dziadkiem Ignacym z Wydziału Kadr w przeprowadzce cioci Kazi z Planowania.



TRAKTEM STAREJ WARSZAWY
W turystycznym zapale

rys. Charlie